Nr. 14. i 15. Lwów, Niedziela dnia 20. i 27. grudnia 1874 r. **Rok I.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr., półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sgr.

LUŹNE UWAGI.

XIII.

Ogródki Froeblowskie.

V. Kończąc szereg luźnych pogadanek o szkółkach, a raczej ogródkach froeblowskich, jeszcze tylko o drobną chwilę cierpliwości upraszamy, pełni obawy, żeśmy niemi unudzili. Do poprzedniego, dorzucić jesteśmy dłużni uwagę o stosunku ogródka do szkoły.

Z poprzednich uwag wypływa ta ostatnia, mianowicie: ogródki usposabiają dziecko do nauki, do szkoły. W ogródku rozbudziły się i rozwinęły wrodzone dziecka zasoby, zdolności, i dziecię jest już zdolne do przyjmowania i zrozumienia pojęć, jakie mu nauka podawać zaczyna, jest już do uczenia się usposobione. Wzrok ma wyrobiony, ukształcony słuch; dziecko umie patrzeć t. j. rozróżniać wzrokiem przedmioty i dzielić je na części składowe, umie słuchać, czyli rozróżniać odcienia mowy, akcentowanie, nacisk, umie wynajdywać myśl, znaczenie nacisku, akcentowania. W ogródku nauczyło się dziecko mówić, czyli w sposób uporządkowany wyrażać, co myśli i wie.

Dziecko wtenczas właściwie dopiero sposobne jest do szkoły, gdy umie: patrzeć, słuchać i mówić. Nauczyciel nie traci w takim razie czasu na usposabianie dziecka, ale odrazu do nauki przystępuje. Doświadczenie poucza, ile trudu, ile czasu poświęcać musi nauczyciel dziatwie drobnej, do szkoły nie przygotowanej, nieumiejącej: patrzeć, słuchać i mówić.

Ogródkowi nie zależy na tem wcale, ażeby dać dziecku wiadomości do szkoły przygotowawcze, bo na wstępie mówiliśmy, że ogródek nie uczy, jeno rozwija, kształci, wychowuje; zadanie ogródka w obec szkoły na tem polega, aby dziecko dojrzało w nim do uczenia się. Nauka jest siejbą pszeniczną, ogródek oraczem pod siejbę; szkoła rzuca ziarno, ogródek froeblowski uprawia glebę.

Pogadanki nasze, pod godłem „luźnych uwag“ — nie miały pretensji do stanowiska wyczerpujących rozpraw. Stosowały się do godła, pod którem wstępowały w szersze koło czytelników w tym celu, by zwrócić uwagę matek na tak użyteczną, niezbędną prawie instytucję i jeżeli słabemu słowu się uda, zyskać jej jak najwięcej przyjaciół i zwolenników.

* * *

Niech nam wolno będzie do powyższego dodać jeszcze króciuchną historję ogródków froeblowskich.

We wszystkich krajach na Zachodzie, zaczęły jeszcze przed wiekiem pojawiać się szkółki; a raczej zakłady wychowawcze, czyli ochronki, dla dziatwy drobnej. Stowarzyszenie kobiet w tym celu zawiązane, założyło pierwszą taką ochronkę w Żuławach w r. 1772. We Włoszech istniały w zeszłym stuleciu „Scuole delle creature,“ dla dzieci od $1\frac{1}{2}$ do 7 lat liczących. W Anglji spotykamy się w owych czasach z tak zwaną: „Dames-scools,“ lecz ochronki te nie miały znaczenia pedagogicznego, nie miały celu ogólno-wychowawczego, zakładane z potrzeby, z konieczności dla dzieci opuszczonych, lub osierociałych. Dopiero twórca nowszej pedagogji Pestalozzi i pastor Oberlin, myśl tych ochronek rozwinęli, na szersze pole działalności przenieśli, uważając je nie jako przytuliska sieroce, ale jako zakłady wychowawcze, rodzicom w wychowaniu dzieci pomocnicze. Pastor Oberlin założył w r. 1779 we wsi Waldbach w Alzacji pierwszą taką szkółkę. Myśl zacnego pastora znalazła poparcie u poczciwych, a możnych, szczególniej u księżnej Lippe-Detmold, która nie szczędziła kosztów i trudu osobistego na rozwinięcie tej pożytecznej instytucji. Długi czas była szkółka w Waldbach jedyną w Niemczech i dopiero przykład Anglji zachęcił Niemców do zakładania liczniejszych szkółek. W Anglji bowiem, wprawdzie dopiero w r. 1800 założył taką ochronkę Robert Owen przy fabryce swej w New-Lamark w Szkocji, dla dzieci swych robotników, ale w krótkim czasie, za wdaniem się parlamentu, potworzyły się towarzystwa (infant-scool-society) i skutkiem energicznego ich działania, w r. 1824 już przeszło 500 szkółek istniało. Za przykładem Anglji poszedł ląd stały Europy.

Maire paryski Cochin, udał się w roku 1826 do Londynu, zbadał owe zakłady i z pomocą dam francuskich, w tym celu w komitet złączonych, założył taką szkółkę (salle d' asyle) w Paryżu. W r. 1840 posiadała Francja około 350 salles d'asyle.

Równocześnie prawie powstawać zaczęły zakłady takie: w Szwajcarji, w Danji, w Szwecji, we Włoszech i w krajach korony austrjackiej. Wiedeńczyk Wertheimer, najwięcej w Austrji zasłużył się w tej sprawie.

Szkółki te jednakowoż — stanowczo różniły się od dzisiejszych ogródków froeblowskich. Cel ich był za mały. Ograniczano się na tem jedynie, by dziecko chronić od złego, by strzedz jego moralnej i fizycznej natury; rozwijać dziecko, wychowywać je — nie umiano. Dla zabicia czasu suszono dziatwie głowę: nauką złożoną z opowiadań biblijnych, których dziecko nie rozumiejąc, uczyło się papuzim sposobem. Dopiero Pestalozzi zrozumiał dokładnie całą doniosłość tych instytucyj, gdyby umiejętnie były urządzone, a Fryderyk Froebel myśl jego rozwinąwszy własnem badaniem, w życie ją wprowadził.

Fryderyk Froebel urodził się w r. 1782 w Oberweissbach w Turyngji. Ojciec jego był pastorem. W dzieciństwie utracił matkę; na pół sierota, różne za młodu przechodził koleje. Wychowany w pięknej okolicy, śród kwiecistych pól, wonnych lasów, uroczych widoków, pokochał przyrodę, przylgnął do niej sercem całem i zrozumiał jej mowę, dla wielu tajemniczą, niedosłyszalną, którzy jej słuchać nie umią. To zbratanie się z przyrodą, stało się źródłem jego pedagogicznych pomysłów.

Zaledwie podrósł — poświęcił się leśnictwu. Dwa lata był leśniczym. Pragnienie nauki, nie pozwalało mu długo na tej posadzie pozostawać. W r. 1799 udaje się na uniwersytet w Jenie, gdzie z całym zapałem naukom przyrodniczym się poświęca. Po śmierci ojca, wstępuje w roku 1802 do obowiązku, jako prywatny oficjalista, w dobrach majętnego właściciela w Meklemburgji. Lecz już w r. 1805 porzuca ten zawód i pragnie zostać budowniczym. W tym celu przy-

bywa do Frankfurtu i wkrótce zapoznaje się z dyrektorem szkoły miejskiej Grunnerem, komentatorem Pestalozzego. Grunner, zaraz po pierwszej dłuższej rozmowie z Froeblem, powiedział: „Stworzył cię Bóg na pedagoga.“

Słowa te rozstrzygnęły o losie Froebla. Zdawało mu się, że z ust pedagoga, strzelił promień natchnień, nieznanych mu dotąd — a jednak upragnionych. Natychmiast zajął miejsce nauczyciela w tej szkole, a wnet stał się najgorliwszym badaczem i zwolennikiem Pestalozzego. Dla poznania go, wyjechał do Iferten (Yverdun) i jakby namaszczenie kapłańskie, otrzymał od Pestalozzego w pamiętniku te słowa: „Człowiek toruje sobie drogę do celu: płomieniem myśli i iskrą wymowy—ale przebywa ją i siebie udoskonala: milczeniem i działaniem.“

Odtąd rozpoczął Froebel działalność swoją w teorji i praktyce. Pouczał o potrzebie ogródków i ich znaczeniu — i wszędzie do ich urządzenia przykładał rękę.

Czem zaś są te ogródki? — widzieliśmy w najogólniejszym konturze, w powyższych pogadankach.

W r. 1852 umarł dobroczyńca dziatwy — a myśl jego żyje — rozwija się i przyswaja się miljonom.

W naszej prowincji — ogródek na sposób froeblowski, założyli we Lwowie pierwsi pp. Pietraszewscy; obecnie W. Rada szkolna kilka ich w kraju zakłada, a to przy seminarjach żeńskich. W zeszłym roku udało się kilka kandydatek nauczycielstwa, wysłanych przez Radę szkolną, na cały rok do Kufstein, gdzie odbywały praktykę pedagogiczną i z zasadami Froebla dokładnie się zapoznały. Kierownictwo ogródka we Lwowie, powierzyła Rada szkolna pannie Fryderyce Zielonkównej. Wybór kierowniczki nie mógł być szczęśliwszym. Zamiłowana w swoim zawodzie, pełna poświęcenia dla dziatwy, znana z gruntownej intelligencji, daje wszelką rękojmię, że ogródek w stolicy naszej prowincji, ze wszech miar wzorowym będzie i wielkie dla dziatwy przyniesie korzyści.

Godzi się spodziewać, że nasza kierowniczka ogródka, zechce pójść śladem niemieckich kolegów i wzbogaci literaturę naszą pedagogiczną dziełem o zasadach froeblowskich, na kształt dzieł: Fischera, Köhlera i innych. W języku naszym znamy dotąd: broszurkę wydaną w r. 1869 staraniem redakcji *Przyglądu Tygodniowego* „Kilka słów o metodzie froeblowskiej“ i dzieło H. Goldammera „Ogródek dziecięcy“ — wydane nakładem tejże samej redakcji w Warszawie.

Mówiąc o Warszawie, dodać wypada, że stolica Polski jak we wszystkiem nas wyprzedza, tak i pod tym względem wyprzedziła. Już w r. 1867 wzięto się tam do zakładania ogródków, a myśl ta rozwinęła się szybko za staraniem Polek i z pomocą Towarzystwa Dobroczynności. Obecnie kilka w Warszawie istnieje ogródków.

SERCE I REKA.

POWIEŚĆ PRAWIE HISTORYCZNA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszym przedmiotem na który padł jego wzrok, były rzucone na stoliku pistolety. Przypomniały mu one cały przebieg sprawy wczorajszej i postanowienia, w których biały dzień go ugruntował. Ochłonąwszy nieco czuł potrzebę dysymuacji, chłodu, rozwagi i wielkiego taktu.... Wściekłość, jaką miał w duszy, należało pokryć, utaić, nie dać się jej domyśleć.

Wstawszy późno, gdy po śniadaniu zszedł ubrany do baronowej, już jej tam nie zastał. Obie z Olimpją wybrały się na przejażdżkę na cały dzień, nie miały powrócić aż późno w nocy. Szafrańska nie umiała powiedzieć dokąd się wybrały, miss Draper pojechała z niemi.... Spytany portjer nic nie wiedział, nawet o wyjeździe a tym mniej o celu.... Jawnem było dla niego, że przejażdżka ta wczoraj jeszcze musiała być wymyśloną, dla wygodnego widzenia się z p. Fratellim. Cóż to znaczyło że Klara zabrała swego koczkodana, jak nazywała Angielkę — mogła właśnie wziąć ją dla swojego towarzystwa, Olimpję zostawując z kochankiem....

Zygmunt wyszedł na miasto spodziewając się gdzieś spotkać z majorem i dowiedzieć o śniadaniu. Nie mogąc go nigdzie znaleźć, poszedł do doktorowej. Piękna gosposia przyjęła go tem uprzejmiej iż powrót do jej domu świetne otwierał nadzieje.... Tym razem zawiedzione jednak zostały, Zygmunt nie dał się zaprosić na śniadanie, odłożył dłuższe odwiedziny na później, a chciał tylko wiedzieć o majorze.

— Ale majora tylko co nie widać! zawołała piękna pani....

W istocie pan Redke nadszedł.

— Szukam pana, rzekł Zygmunt.

— A ja powracam od niego z hotelu... rozminęliśmy się.

— Cóż z naszem śniadaniem?...

— Artystów mogę panu dostarczyć, ilu sobie życzysz — odezwał się Redke, ale tego Fratella, ja mówiłem że nie jestem pewny. Gdzieś mi do dnia czmychnął. Nie ma go już w mieście....

Pobladł Zygmunt, gdyż wszystko podejrzenia jego stwierdzało.

— Więc innego dnia — majorze....

— Ja się teraz lepiej dopilnuję, odparł Redke, nie posądzałem go żeby się kochał w rannych spacerach, które tylko katarem nabawiają. Prawda, że to nie śpiewak....

Doprowadzony do najwyższego stopnia niecierpliwości, Zygmunt wyszedł błąkać się po nad brzegami jeziora.... Można sobie wyobrazić stan jego duszy i namiętność która nim miotała. Niemal bezsilny, wzgardzony, szukał środków i nie umiał znaleźć skutecznych.... Trzeba było milczeć i czekać. Cały tak dzień przewałęsał się po okolicach, probując łódki, — najmując powozy do ciekawszych miejsc po za miastem — dopytując od niechcenia o damy, w towarzystwie siwego mężczyzny, ale na ślad nie trafił nigdzie.

Zatrzymawszy się w małej gospodzie w Carouge, nie mając co robić, wpadł na myśl napisania do ojca poufnego listu, w którym z całem oburzeniem, jakie czuł w sobie, odmalował mu nieznośne położenie swoje. List był poufny, ale zawierał wszystkie szczegóły... i nie ukrywał nic. Zaklinał Szambelana ażeby nie dał poznać rodzicom co się działo, bo nie chciał wzywać ich pomocy — ale zarazem żądał jego rady a choćby użalenia. List ten nie bardzo był w istocie potrzebny, był on tylko wyznaniem nieudolności i niemocy... wyrwał mu się bez namysłu w chwili jakiegoś zniecierpliwienia, by użył nieco męczarni. Wrzucił go Zygmunt do skrzynki pocztowej i dla odmiany odprawiwszy powóz, znowu pieszo wracał do miasta....

Dobrze już zmierzchało gdy doszedł na Rodańskie wybrzeże, poczynające się latarniami gazowemi oświetlać. Nie miał się czego spieszyć, szedł zadumany powoli.... Postanowił jak tylko te panie powrócą rozmówić się otwarcie — ale z kim? Nie był jeszcze pewny.... Z żoną nie chciał zrywać zupełnie, wolał więc spróbować obudzić współczucie w Klarze, której znał dość łatwo zmieniające się usposobienia, pod wrażeniami nowemi.

W progu hotelu na zapytanie o te panie szwajcar mu odpowiedział iż właśnie powróciły przed niedawną chwilą. Poszedł więc do hr. Klary.... Miss Draper siedziała sama w salonie nad książką, pani samej nie było.

Grzecznie bardzo Zygmunt poprosił ją czyby Klary na chwilę rozmowy do niego nie raczyła wezwać. Angielka dość kwaśno spełniła żądanie. W chwilę potem otworzyły się drzwi zamaszysto i Klara hałaśliwie weszła, chcąc wielką swobodą ruchów i udanem roztrzpiotaniem pokryć pomięszanie i pewną obawę. Domyślała się, jeśli nie wszystkiego co ją spotkać miało, to przynajmniej kłopotliwych pytań.... Zygmunt i ona zmierzyli się oczyma; Klara wyczytała w nim spotęgowane zniecierpliwienie i gniew, on widział że była winną i potrzebowała się sama odurzyć nieco, aby jego wywieść w pole. Niespokojnie i gorączkowo wyglądała.

Miss Draper domyślając się, że jej przytomność będzie zbyteczną, zabrała swoją książkę i wyszła. Zygmunt stał milczący.

— Pewnieś się pan zdziwić musiał niezastawszy nas dziś rano? odezwała się Klara — Olimpja potrzebuje rozrywki, musiałam ją wywieść na cały dzień....

— Czy i pan Fratelli towarzyszył paniom w tej wycieczce? zapytał Zygmunt.

Niespodziane to pytanie, którego nie przewidywała Klara, widocznie ją zmięszało i schwyciło niespodzianie. Zarumieniła się, zrobiła ruch ręką nie zrozumiały, otworzyła usta, namyślała co odpowiedzieć, kłamać czy być otwartą. Skrzywdziłbym płeć piękną gdybym powiedział, że mając do wyboru między prawdą a fikcją, zawsze woli począć od zmyślenia — wolę powiedzieć, że charaktery takie jak hrabinej przekładają — czując swą słabość — tajemnicę i wybiegi nad prostą drogę, wiodącą do walki, której się obawiają....

— Fratelli? podchwyciła Klara z fałszywym uśmiechem — zkąd że to znowu?

— Wszakże wczoraj wieczorem, gdy tu był, zapewne umowa stanąć musiała... dodał Zygmunt.

— Tu był — wieczorem... Fratelli?... jąkając się powtórzyła Klara — a jakże pan możesz o tem wiedzieć, i kto panu dał prawo mnie szpiegować? Wszakże się pan we mnie nie kochasz?

Zbywała go żartami, ale w głosie drżenie czuć było.

— To pewna że się nie kocham i że o panię hrabinę zazdrośny nie jestem, ale mam prawo uważać na żonę... a Olimpja była tu wczoraj razem z panią i nim.

Wypowiedział to z taką pewnością, że Klara zbladła.

— To coś szczególnego! wyrzekła wreście. Cóż to za domysły? zkąd te jakieś podejrzenia bezsensowne? A gdyby w istocie Olimpja była u mnie w czasie gdy mnie odwiedzał Fratelli — cóż to kryminał, żem go jej zaprezentowała? To doskonałe!

— Czy tylko ten pan Fratelli potrzebował być jej prezentowanym? z ironicznym śmieszkiem spytał Zygmunt, który ustać nie mogąc, miotał się po pokoju rozmawiając.

Klara zmilczała.

— W głowie ci się przewróciło panie Zygmuncie — ofuknęła się. Pojmuję bardzo że patrząc co dzień na piękną kobietę, która się żoną nazywa, a być nią nie chce — można nabrać złego humoru — ale nie trzeba dopuszczać się do fiksacji. Panu się w głowie przewróciło.

— Radbym żeby to było manją tylko— dodał Zygmunt, ale na nieszczęście zdaje mi się że tak nie jest.... Znalezienie się mojej żony w czasie koncertu... cała machinacja pani po nim....

— Machinacja! powtórzyła śmiejąc się Klara — ładny wyraz....

— Inne oznaki... których nie potrzebuję tu wymieniać, naprowadziły mnie nie na domysł ale na pewność prawie że ten Fratelli... jest pierwszym kochankiem Olimpji....

Po licu Klary przeleciała jak błyskawica bladość śmiertelna, wzięła się za boki, padła na kanapę, i śmiała się, zachodziła i płakała prawie i doszła niemal konwulsyj z tego śmiechu. Lecz gwałtowność tego wybuchu, nienaturalność jego, przesada... przedłużenie... byłyby najtępszego nawet człowieka naprowadziły na podejrzenie że to było udanem, — a nawet dosyć niezręcznie. Na Zygmuncie uczyniło to wrażenie potwierdzające podejrzenia. Dotąd posądzał, teraz zaczynał być pewnym.

— A wiesz! wołała, ciągle przerywając sobie śmiechem — to przedziwne, to doskonałe — to niezrównane.... Godzien jesteś dostać się do Bonifratrów!... Co za bujna imaginacja... cha! cha!

Baron stał chłodny, z zaciśniętemi ustami, patrząc na nią z taką pewnością siebie, że ją gniew porwał. Zerwała się z kanapy, zaperzona.

— Dajże mi pan pokój ze swemi przywidzeniami!... Nie mam powodu się panu z niczego tłumaczyć — a gniewam się za ten rodzaj konfesaty, której mnie poddajesz. Cóż to znowu ma znaczyć?

— Przepraszam panią hrabinę — rzekł Zygmunt — weszłaś pani wypadkiem, który z początku za opatrznościowy uważałem, między mnie a moją żonę — vous en subissez toutes les consequences.

— Jeśli pan sądzisz że mnie znudzisz i odstraszysz, aby sam na sam z nią pozostać i zamęczać biedną kobietę — przerwała Klara — mylisz się bardzo. Tak, opatrznościowo się tu znalazłam, aby stanąć w jej obronie — i — nie opuszczę.... Nazywasz ją swoją żoną?... c'est parfait! dodała— ale pan żadnych a żadnych praw do niej nie masz, zaślubiłeś ją nawet cudzym pierścionkiem... warowała sobie, że zostanie mu obcą. Spodziewam się, iż ma prawo czynić co chce....

— O tyle o ile to honoru mojego nie plami — przerwał Zygmunt.

— Pańskiego honoru! z przekąsem powtórzyła Klara — przepraszam, ja wiem doskonale od Olimpji jaka była umowa.... Przestrzegła pana że ma zupełną swobodę postępowania — bez granic.... Na straży wspólnego honoru ona tak dobrze stać potrafi jak pan.

— Więc przyznajesz pani że jest w niebezpieczeństwie?

— Ja? któż to panu powiedział? Co się panu śni? gwałtownie wybuchnęła Klara.

— Jak widzę, nic tu nie zyskam — pani mnie rozumieć nie zechcesz.... Muszę być otwartszym niż chciałem. Możesz to pani powtórzyć Olimpji. Przed ślubem obiecywałem jej co chciała... lecz ślub łamie podobne niezgodne z prawem i rozumem przyrzeczenia. Zapytaj pani pierwszego lepszego prawnika lub księdza co taka umowa jest warta?

Rozśmiał się dziko....

— A! więc już tak otwarcie mówimy— śmiejąc się i spoglądając nań badawczo dorzuciła Klara — to co innego.... Jeżeli pan uciekasz się do takich środków, ja mam honor mu powiedzieć, że właśnie radziłam się w interesie Olimpji księdza i prawnika— c'est fait, oba mi odpowiedzieli że ślub jest nie ważny i że małżeństwo z największą łatwością może być zerwane....

Z kolei pan Zygmnnt zbladł i zmięszał się — była to jedyna ostateczność której się obawiał.... Bądź co bądź nie chciał rozwodu i unieważnienia. Znalazł się więc w położeniu w którem już bez zuchwalstwa jakie okazywał zrazu, trzeba było udawać bezpiecznego, nie będąc nim wcale.

— Zobaczymy — czy można tak łatwo zerwać ten związek, bez wywołania skandalu.... Zmuszony, ogłoszę światu....

— Własną nikczemność! zawołała rozgniewana Klara — dajże mi pan pokój.... Idź pan i czyń co chcesz, ja się nie chcę mięszać do tego.... i z nim rozprawiać.... oburzasz mnie.... Proszę wyjść — proszę wyjść i uwolnić mnie na przyszłość od podobnych odwiedzin.

Odwróciła się od niego zaperzona i poszła ku drzwiom sypialnego pokoju. To wypowiedzenie wojny i zerwanie stosunków nie na rękę było baronowi. Stał nie ruszając się z miejsca, nagle zmienił ton.

— Hrabino — zawołał — nie masz ani odrobiny serca, ani litości, ani miłosierdzia nademną.... Przypomnijże sobie położenie moje, postaw się w miejscu mojem... pomyśl co ja cierpię.... Czy się godzi.

— A któż cię popchnął w to? odwracając się rzekła Klara. Miałabym zaprawdę politowanie nad nim, gdybyś był zawiedzionym, oszukanym, gdybyś nie rozmierzył dokładnie tej kałuży w którą wszedłeś z dobrej woli....

— Alem ja tego z dobrej woli nie zrobił, zawołał Zygmunt wpadając na nowy środek obrony....

— Jakto? któż pana zmusił? Farceur! powiesz mi że miłość! Allons donc!

— Nie miłość!

— Cóż? kto?

— Posłuchaj pani — rzekł Zygmunt udając głęboko wzruszonego. Ojciec mój wymagał tego po mnie, zaklinał, nakazał.... Byliśmy zrujnowani, trzeba się było dźwignąć i ratować. Opierałem mu się... sofizmatami mnie złamał, zmusił moralnie... uległem....

Hrabina patrzała nań ze zdziwieniem wielkiem, a nawet z pewnem politowaniem— ale nie przekonał jej wcale... dziwiła się tylko cynizmowi tego kłamstwa i środkowi jakiego użył aby uzyskać jej współczucie.

— To są te sprawy familijne... rzekła, które dla świata pokrywa tajemnica. Trudno wszakże uwierzyć aby ktoś taki jak pan Zygmunt, dał się tak dalece ojcu powodować. Ale ostatecznie — czego pan chcesz odemnie? ja nic nie rozumiem oprócz że mi pan burdę robisz w mojem mieszkaniu....

— Pytam się panią, czy chcecie mnie swem postępowaniem przywieść do ostateczności?...

— Pytaj się pan żonę o to co ona czyni, ja za nią odpowiadać nie myślę....

Ukłoniła się i wyszła.

Tak nic niedokazawszy, a popsuwszy tylko swą sprawę tem iż się wydał — Zygmunt musiał wyjść.... W korytarzu się zawahał. Chciał zaraz do żony pójść i rozmówić się z nią — rozwaga mu wskazała że to by do niczego więcej doprowadzić nie mogło.

Znękany, z głową zbolałą, zawrócił się do mieszkania.... Całodzienna włóczęga odebrała mu siły, rozmowa z Klarą nabawiła gorączką. Z rodzajem rozpaczy wpadł na drugie piętro i rzucił się na kanapę. Godzina była już dosyć późna.... Zdziwił się słysząc wkrótce pukanie do drzwi.... zapalił światło o którem zapomniał.... We drzwiach stał major Redke....

— Pan baron mi daruje że w tak późnej godzinie przychodzę, ale byłem tu już parę razy. Chcę pomówić o pięknym projekcie tym śniadania z artystami. Czy panu stanowczo idzie o tego dziwaka Fratelli, bo jabym mu dostarczył daleko przyjemniejszych chłopaków — co się zowie miłych i wesołych — a to jest tetryk, nudziarz... i....

Zrazu Zygmunt niedobrze zrozumiał i kwaśno przyjął Redkego, który rzuciwszy badawczem okiem po pokoju, co najprędzej zabrał miejsce, aby dłużej pozostać; w końcu jednak pomiarkował że ten awanturnik na coś mu się przydać może....

— Jestem ciekawy bardzo Fratellego, bo o nim wiele słyszałem i głównie idzie mi o niego.

— A tu właśnie główna trudność jest mieć go, bo dzisiejszego dnia, jak się dowiaduję, nie wiedzieć z jakiego powodu zerwał umowę z Ullmannem, między nami mówiąc, złotą, korzystną tak że drugiej podobnej nie znajdzie i — jakby go co paliło... zapakował się, zabrał... siadł słyszę na kolej i wyjechał niewiadomo dokąd. Powiadają że ojciec mu podobno umiera....

*

Zygmunt aż się zerwał z kanapy usłyszawszy to.

— Dziś? już wyjechał?

— Ale tak że się nawet z nikim nie pożegnał... że... ani go można było pochwycić!

— I dokądże pojechał? dokąd? niespokojnie nadto i wydając się niepotrzebnie ze zbytniem zajęciem, począł Zygmunt pytać....

Redke popatrzywszy nań, domyślił się łatwo że tu coś więcej w grze być musiało nad prostą ciekawość; dla niego nastręczała się doskonała sposobność wyzyskania kieszeni nowego znajomego. Oczy mu błyszczały radością której ukryć nie umiał....

— Jeżeli to w istocie barona, z jakichkolwiek bądź powodów obchodzi, rzekł cicho — ja tu mam stosunki... mogę powiedzieć takie jak nikt... nawet w policji (dodał szepcząc). Ja mogę dojść co się z nim stało. W istocie jest coś nienaturalnego w tej całej sprawie wyjazdu.... Okrył się tajemnicą.... Jeśli pan baron mi zlecisz to, i zechcesz — nie mnie, bo ja bezinteresownie ofiaruję mu usługi moje, ale ludziom których użyć muszę — wynagrodzić — postaram się dośledzić.

Zakłopotał się pan Zygmunt i zawahał, nie chcąc się oddawać wręce człowieka, którego wartość łatwo mu było ocenić. Począł się śmiać....

— A! to fantazja tylko — zawołał, nudzę się... chciałem studjum zrobić na człowieku o którym bardzo wiele słyszałem — lecz znowu tyle zachodów....

— To rzecz łatwa... kilka luidorów, a dowiemy się, rzekł Redke....

— A! o kilka luidorów nie idzie....

— Zatem... zrobię — śledztwo....

Pomacał się po kieszonkach Redke....

— Idę zaraz; trzeba korzystać z chwili — ale na nieszczęście zapomniałem sakiewki w domu a ci ludzie lubią gotówkę.

Zawstydzony nieco Zygmunt dobył pięć luidorów i położył je na stole przed gościem, który skwapliwie schował je do kieszeni, wstał i począł się żegnać....

— Będziemy wiedzieli co się z nim stało — dodał... bądź pan baron spokojny.... Jutro spodziewam się przynieść wiadomość. A — jeśli się pan nudzisz w domu — rzekł ciszej — czemużbyś nie chciał wieczora spędzić u miłej naszej doktorowej. Osoba dystyngowana bardzo... a uważałem, co rzadko, że się jej pan podoba.... Wspominała mi o nim i dopytywała parę razy.... Dom miły — towarzystwo poważne... bo nie każdego przyjmuje.... Z rzadkim taktem kobieta....

Zygmunt wysłuchał tej mowy z obojętnością grzeczną—i złożył się bolem głowy, który go spocząć zmuszał.... Redke pożartowawszy jeszcze z pięcią luidorami w kieszeni, wesół... wysunął się za drzwi,

Zniknięcie Fratellego dawało do myślenia i znowu potwierdzało domysły, nabierające coraz więcej prawdopodobieństwa....

— Jeśli nie potrafię go pochwycić?—rzekł Zygmunt — przegrałem sprawę.... Trzeba go wyzwać i zabić. (C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

Sewera...

IV.

(Ciąg dalszy.)

— Cóż to, więc i marzyciele w City gonią za interesami?

— Albo podobna, kochany kapitanie, mieszkać w Londynie i nie prowadzić interesów?

— Brawo! kto mieszka w parafji musi chodzić do świątyni.

— Zbliżam się do podwoi.

— A jej Bogiem złotemi wypisany literami: biznes. W obec niego upada wszystko, przedewszystkiem zaś moralność, cnota, honor, obowiązek, godność. Biznes jest wszystkiem, początkiem dobrego i złego, jedynym celem, rezultatem, bo jest Bogiem.

— Kapitanie, zapalasz się, a gdzie równowaga? inaczej egzystencja stałaby się niemożliwą, jak na giełdzie wiedeńskiej.

— A któż mówi że niema równowagi, lecz ona wytwarza się dla biznesu i z biznesu. Wielkie domy walczą kapitałami, punktualnością i rzetelnością do przesady, gdyż to dla ich biznesu jest konieczne. Nakręcona w tym kierunku maszyna, daje im najlepsze rezultaty. Mniejsze domy muszą naśladować wielkie, aby się kiedy niemi stały, — lecz gdy bez hałasu i wrzawy, można dobry interes zrobić, przyprowadzając do bankructwa i nędzy sto rodzin, bądź spokojny nie zawahają się ani chwili, tak wielcy jak mniejsi.

— Rozciekawiasz mnie.

— A wszyscy walczą na cześć Boga — biznesu. Obejścia, zasadzki, podstępy na porządku dziennym. Posłuchaj: pan Klirk naprzykład et compagnie — poważny, ogolony dżentelmen, zawsze czarno ubrany i zawsze w cylindrze, jednem słowem *respectable*, zakłada ze wspólnikami, mając naprzód upatrzone drogi zbycia, dom, bank, komissję, faktorję, słowem co jest najdogodniejszego. Z początku małe partje towarów płacą gotówką, lub biorą na kredyt, z krótkiemi terminami. Weksle wypłacają najsumienniej, tym sposobem zyskują zaufanie i coraz większy kredyt, z którego korzystając zabierają towaru za 10 tysięcy funtów, pozbywają go jak najprędzej i odpowiednio przygotowawszy swoje książki, bankrutują.

— I idą do więzienia za długi, dodałem.

— Nie tak prędko! najpierw bankrutują podług wszelkich form prawnych, a zatem jest to bankructwo respectable, powtóre tylko biedacy idą do więzienia, bankrutujący nad 50 funtów są wolni od tej przykrości.

— Wróćmy do przedmiotu.

— Pan Klirk i towarzysze bankrutują zatem, stwierdzając księgami upadek, a że są respectable dżentelmeni, płacą zatem wierzycielom pena*) za funta. Biznes wybornie się udał, zarobionym kapitałem dzielą się. Każdy ze wspólników zarabia po trzy tysiące funtów (30,000 guldenów). Klarkom dają po 2 funty gratyfikacji, zamykają dom i zwijają firmę, aby ją pod innem imieniem założyć; mimo tego wszystkiego cieszą się dobrą opinją jak wery-respectable.

— Chciałbym nareszcie dowiedzieć się o rzeczywistem znaczeniu respectable?

— Czarodziejski ten wyraz w Anglji oznacza bardzo wiele. Nie masz narodu arystokratyczniejszego na świecie od Anglików, a respectable, jest to miara oznaczająca stanowisko arystokratyczne. Chodzić w cylindrze i mieć czarny surdut — respectable, płacić długi—respectable, ubierać żonę—respectable, mieć pokój bawialny — respectable.

— Znakomite respectable!

— Wieleż razy dla niego znoszą nędzę, upokorzenie, wieleż razy to słowo staje się powodem upadku i hańby!

— Czy nie zbyt jaskrawo malujesz kapitanie?

— Wejdź do naszych rodzin, a przekonasz się, jak wielkie ofiary składają swemu respectable. Często cała rodzina głód cierpi, aby mieć pokój respectable i wyjść na ulicę ubrana respectable.

— Przypominam sobie, moja praczka mówiła mi, że na 1em piętrze ma pokój respectable.

— Na utrzymanie którego oddaje piątą część swego dochodu, aby tylko mieć przyjemność powiedzieć ci o tem, a zarazem być dumną w obec sąsiadek.

— Córka jej spuściła w tedy oczy, nie śmiejąc ich podnieść może, aby nie patrzały zbyt dumnie.

— Tak, tak, miała prawo być dumną, myśląc że i ona jest respectable, siadując czasami w respectable pokoju swojej matki.

— A ci co długów nie płacą?

— Płacić długi stanowi wyższy stopień respectable, ale o tym, kto nie płaci, byle dobrze mieszkał i ładnie się ubierał, powiedzą:— „Wprawdzie ten dżentelmen niestety długów nie płaci, lecz zawsze jest on respectable“. — Gniewają się na niego, ale szanują w nim ideę respectable.

— Wyborni!

— Nie przesadzę, jeżeli powiem że respectable jest ideałem tutejszych stosunków, za którym wszyscy się ubiegają, a każde kółko ma swoją stopę do oznaczenia jego wartości. W jednem kole od posiadania pałacu, willi, dwudziestu koni na stajni, zaczyna się dopiero respectable, a w ostatniem mieć całe obuwie i bieliznę, jest już nieporównane respectable.

— A zatem respectable myje i ubiera jednych, a rujnuje drugich.

— Trzecich pcha do łotrostw, a przynajmniej do oszustwa. Słuchaj dalej: nasz pan Klerk z kompanją mając trzy tysiące funtów zysku po pierwszem bankructwie, urósł w opinji na całej ulicy, którą zamieszkuje, na wysoko respectable; to go pobudza aby zostać wysoko respectable i w całej parafji. Powstaje zatem nowy dom, firma Harison et compagnie. Szanowna współka zaczyna od razu grubsze interesa, posiada bowiem swoich ajentów do wyszukiwania placu na ich towary. Płacą świetnie, egzystują dwa lata, cierpliwie czekając na zdobycie zaufania. Obracając szybko kapitałem, bez żadnych zysków, a nawet choćby ze stratą, łatwo zdobywa się zaufanie w Anglji, gdzie produkta zalegają w magazynach, a z kapitałami nie wiedzą co robić. Stanowczy czas nadchodzi; po dwuletniej pracy księgi ich wykazują obrotu sto tysięcy, a conta w wielkich domach dochodzą do kilkudziesięciu tysięcy funtów; wtedy nabierają na sto przeszło tysięcy towaru, na trzy miesięczny termin wypłaty; sprzedają ze stratą, byle

*) 240 penów za 1 funt, 1 funt ma 20 szylingów, 1 szyling 12 penów, 1 pen 2 so u.

jak najprędzej; bankrutują lojalnie i legalnie; po czem zamykają biznes, kupują domy, stawiają kaplice, należą do rozmaitych dobroczynnych sosajty, mają zakupione miejsca w kościele, słowem są u szczytu sławy, wery-respectable w całej parafji, a pastor często w kazaniach stawia ich, za przykład biedakom. Chcąc nie chcąc musisz być takim, jakiem jest społeczeństwo, a ono stawia sobie Bogi, jakie mu są potrzebne. Mister Pyrke!—zawołał nagle kapitan do zbliżającego się małego człowieczka, żółtawej cery, o cienkich nóżkach a długich stopach, śpiczastym nosie, ruchliwych oczach, dużym halsztuchu, wysokich kołnierzach, z podniesionem lekko ramieniem prawem.

— Gud de ser, gut de ser — odrzekł cicho człowieczek.

— No i cóż, czy myślisz skończyć, odpowiadaj stanowczo?!

— To nie ja kochany panie, to zasada i refleks,—moja osoba tu nic nie znaczy, nie patrz na nią ser i omijaj ją.

— A jednak to pańska zasada i pański refleks...

— Przeciwnie,—zasada jest zasadą nienaruszoną, a pańskie są refleksa...

— Dla tego że chcę odebrać swoje?

— Ja tylko stoję obok zasady, bronię jej i co innego jestem ja, — a co innego zasada. Chciwość pańska budzi w nim rozmaite refleksa i temi pan atakujesz zasadę.]

— Co pan pleciesz?

— Zasada, kochany kapitanie, to filar naszego domu.

— Rusztowanie! zawołał kapitan.

— Powtarzam filar, na którym spoczywa sklepienie naszego domu, a pańskie refleksa usiłują go podkopać. — Człowieczek zaczął parasolem uwidoczniać ruchy, jakiemi kapitan pragnie podkopać filar jego domu.

— Jak się nazywa pańska zasada? zapytałem.

— Pospolicie się nazywa, ale mimo to jest nieugiętą i niewzruszoną... nazywa się: niewypłacalność przed ostatnim terminem.

— A po terminie także niewypłacalność, i to drugi filar, — dodał kapitan.

— Nigdy tego nie powiedziałem; zasada jest jedna, a pańskie refleksa rozbudzone życiem czynnem, wojskowem, są drażliwe—tu człowieczek powtórnie zaczął pokazywać parasolem zamiary kapitana.

— Najlepiej was wszystkich wyzwać i jak kaczki wystrzelać, oczyścić Londyn i Anglię, krzyknął zniecierpliwiony kapitan.

— Aha! szanowny kapitan wyzywa na pojedynek, prowokuje, grozi i straszy! — Człowieczek wyjmuje pugilares, wyciąga ołówek, pisze:— Morgati strit—obok domu pod-numerem 43— o godzinie—która godzina panowie? — wyjmuje zegarek—dwunasta, minut 14—tak, czternaście. — Człowieczek pisze; kapitan założył w tył ręce i patrząc na mnie, uśmiecha się.

— Kapitan Wiliam Raggat groził, prowokował, wyzywał. — Mówisz, dear ser, jak kaczki?!

— Tak, jak kaczki—odparł kapitan.

— Domyślamy się dzikie kaczki, — ciągnie człowieczek pisząc dalej.

— Nie, swojskie.

— No proszę, zatem swojskie.

— Zjadające wszystko.

— Mniejsza o szczegóły z zoologji,—25 minut straconego czasu, za każde 5 minut funta, zatem 5 funtów.—Napaść, groźba — czy powiesz ser—człowieczek zwraca rozmowę do mnie,—swoje nazwisko, jako świadek?

— Nie powiem—odpowiadam krótko.

Człowieczek wyjmuje portmonetkę.

— Jestem w stanie zaofiarować ci pięć szylingów, za wyjawienie.

— Nie przyjmuję.

— Nawet ośmiu?

— Nawet.

— Zatem cię znajdę za dziesięć przez detektywa*)

—Zobaczymy, przerwał kapitan przysuwając się bliżej do człowieczka.

— Jaki pan chcesz zrobić użytek ze swych notatek?—zapytałem.

— Ja, nic... to zasada...

— Więc co pańska zasada zamierza uczynić?

— Iść prosto do sądu Lorda Mera i wnieść skargę. Mój refleks mi to każe, refleks wywołany potrzebą obrony mojej zasady. Ser powiesz swój adres za dziesięć szylingów?

Kapitan częstuje człowieczka boksem w bok— człowieczek się zatacza i opiera o sztachety — odchodzimy.

— Dżentelmeni! lub która Lejdy, widzieliście uderzenie w prawy mój bok pięścią? wołał człowieczek—pół korony, kto widział!

— Chcesz przekupywać refleksie świadków, mówił kapitan obracając się, nauczę ja twoją zasadę!

Tłum jak fale morskie schował w swych nurtach małego człowieczka.

— Zaręczam, że gdyby miał choć jednego świadka, pozwał by mnie i proces mógłby wygrać.

— Cóż to za figura?

— Naczelnik domu, którego biznesem — pod filarem zasady niewypłacalności, brać co można, a przedewszystkiem wytaczać procesa, komu się tylko da. Respectable naczelnik był z początku nauczycielem, później księdzem, doradzcą prawnym, a dziś filozofem biznesowym, jak widziałeś.

— Ciekawy egzemplarz.

— Jego zasada ograbiła moją matkę na 500 funtów. (C d. n.)

*) Na City są osobne prywatne bióra i osobna prywatna policja do wyszukiwania mieszkań osób i ich prawdziwych nazwisk.

FRANCJA DZISIEJSZA

POD WZGLĘDEM LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Rzecz dla „Tygodnia" napisana

przez

L. PICARD'A.

(Ciąg dalszy.)

IV.

ROMANS.

Zauważyć trzeba, że każda generacja literacka wybiera dla siebie formę specjalną, typową. Dziś taką formą we Francji jest romans. Romans jest popularny, w skład jego wchodzą wszelakie żywioły. Staje się on sielanką, dramatem, komedją, lub satyrą. Zawiera studja nad obyczajami, metafizyką, kwestjami społecznemi, polityką, poezją. Przy potężnym genjuszu, jak np. Wiktor Hugo, romans staje się księgą ważną, która uczy, rozmiętnia, wzrusza, oświeca. To też pozostając pierwszym poetą, Wiktor Hugo jest zarazem i pierwszym romansopisarzem Francji. *Notre Dame de Paris*, prosty romans, wskrzesił wieki średnie. *Les Miserables,* dzieło szczególne a potężne, pod formą popularną propagowało pomysły o reformie socjalnej, o powstaniu przeciw staremu światowi, ukazując rany społeczności samolubnej i bezowocne walki stronnictw. *Les travailleurs de la mer* przedstawiają filozoficzny obraz walki. Jest to dzieło poety, który umieszczony nad morzem rozważa, jego nieskończoność. *L' homme qui rit* piętnuje arystokrację angielską, a podnosi lud. W ostatnim nakoniec swym romansie, *Quatre-vingt-treize,* Wiktor Hugo wywołuje epokę wielkiej rewolucji, wyprowadza z grobów ludzi konwencji i maluje okropności wojny domowej. Nic tak w porę nie ukazało się jak ta książka. Wiktor Hugo, lubiący antytezy, chciał wielkie zgromadzenie, które otworzyło świat nowy, przeciwstawić dzisiejszemu francuskiemu zgromadzeniu, wysilającemu się nad tem by powrócić do dawnego. Wskrzesza on gwałtownego Dantona, niezłomnego Robespierra i nieubłaganego Marata. Robi przegląd tych cieniów, tworzących grupę atletów w stronnictwie, górę (*Montagne*), Girondy, zastępu myślicieli, by zejść do „równiny" (*Plaine*), a potem do „błota" (*Marais*), zbiornika wszelkich nikczemności i wszelakiej trwogi — jest to centrum teraźniejszego zgromadzenia narodowego. Następnie Hugo daje Francji, zakrwawionej wojną domową, widok wielkiego rozdarcia wnętrzności — wojną wandejską. Wojna to straszliwa, z okropnym hasłem komuny: „Nie ma przebaczenia!" i hasłem panujących: „Nie ma pardonu!" Bitwy bez końca, odwety bezużyteczne, które jeden człowiek powstrzymałby przebaczając. Romans obfituje w szczegóły dokładne i malownicze. Nie masz nic bardziej uderzającego nad ten obraz zrewoltowanego Paryża, żywcem pochwycony; ma to tytuł: *Les rues de Paris dans ce temps là (2 partie, livre I.)* Hugo opisuje obywateli i obywatelki Paryża publicznie obiadujące, kobiety skubiące szarpie i nucące „Marsyljankę." Zamiłowanie do widowisk nie abdykowało: grano *Le siège de Thionville* i *L' art d' aimer en village.* Nie było żadnego kapelusza bez kokardy. Kobiety mówiły: „W czerwonej czapce nam do twarzy." Handlarze sprzedają ornaty i stuły. Owocześni eleganci, *les muscadins* zawierają śluby cywilne. Lawina asygnat. Luidor złoty płacono trzy tysiące dziewięćset pięćdziesiąt franków, jeden kurs fiakra sześćset franków. A małe dzieci bełkotały: *Ça va*! Romans zawiera mnóstwo tego rodzaju scen, przedstawiających wewnętrzną stronę rewolucji. Wśród tych szczegółów odbywa się dramat ogromny, którym autor posługuje się dla uwydatnienia wielkich osobistości tej ponurej epoki — tego pamiętnego roku 1793.

Erckmann i Chatrian, z których ciągłe stałe współpracownictwo uczyniło jedną osobę, przedstawiają realny kierunek tylko pod względem popularnego wyboru przedmiotów i użytku środków opisanych. Dzieła ich pisane są w dwóch zamiarach, dwóch celach: w celu obrzydzenia wojen i wyemancypowania ludu. Ich *Romans nationaux* są wymownem wystąpieniem przeciw tak zwanemu honorowi militarnemu, tyranji i ambicji. Ubolewają oni nad ludem, który krwią swoją i pieniędzmi opłaca laury monarchów. W takim duchu napisane są: *Waterloo, l' Invasion, Madame Thérèse, L' histoire d' un paysan; le Blocus.* Nienawiść wojny, poszanowanie życia i niezawi-

słości ludzkiej. Ostatnie ich dzieło: *Histoire du plebiscite* opisuje jaskrawy ustęp ostatniej wojny. Jest to książka pisana z patrjotyzmem, jęczącym od upokorzenia i z przekleństwem na koronowanego sprawcę klęsk ojczyzny. Ściśle popularna i nieco naiwna forma, której Erckmann i Chatrian użyli w opowiadaniu, nadaje ich stylowi pewną jędrność i nowość. Gardzą oni ogólnikowemi i pospolitemi wyrażeniami, ale wybierają frazes prosty i jasny, nacechowany ludową dobrodusznością.

Niedawno zmarły Ernest Feydeau pozostawił po sobie jedno tylko dzieło, *Fanny*, swój pierwszy romans. Jestto niewielka książeczka w gruncie niemoralna, a w formie ponętna, którą niewieści Paryż czytał uśmiechając się i rumieniąc. W innych swoich romansach Feydeau udowodnił, że ma talent opisowy. Co do jego filozofji, to ta jest zniechęceniem ku wszystkiemu, do czego dochodzi się wskutek przesytu.

Pod względem kolorytu i stylu Gustaw Flaubert zbliża się do Feydeau; ale pierwszy z nich ma wszystkie zalety romansopisarza prawdziwego. Ostatnie jego dzieło: *l' Education sentimentale* nie zostało zrozumiane przez płochą publiczność. Zupełnie czego innego spodziewano się od autora *Madame Bovary*, będącej arcydziełem szkoły raelistycznej. Możnaby powiedzieć, że *Madame Bovary* jest typem współczesnego romansu. To studjum obyczajów prowincjonalnych rozwija się na podstawie najstaranniejszych spostrzeżeń, ogólnikową powierzchowność rzeczy przeciwstawiając wzruszeniom miotającym duszą. Nie inaczej robił Molier. Flaubert jest zwolennikiem niespodzianek. Po *Madame Bovary*, która kazała przypuszczać, że pojawia się nowy Balzak, Flaubert wydał *Salambo*. Co to za Salambo? Wskrzeszenie cywilizacji zaginionej, zapomnianej, zagrzebanej pod prochami przeszłości—w Kartaginie. Na to dzieło nie szczędził Flanbert najżywszych barw swej palety i całej swej erudycji. Zrobił uderzający i malowniczy obraz starej rywalki Rzymu. Dość nieznacząca akcja, którą wybrał dla swego opowiadania, jest tylko pretekstem do ludowych opisów tej epoki, zaginionej w piaskach pustyni libijskiej.

Romanse Aleksandra Dumasa syna nie warte są jego utworów dramatycznych. *La Dame aux camelias* była to powieść niebardzo czytana, jako dramat zaś miała powodzenie. Toż samo było ze sztuką *Diane du lys*, wziętą z powieści *La Dame aux perles*. Jedno tylko dzieło istotny mu zaszczyt przynosi: *l'Affaire Clemenceau*, dzieło wypracowane, wyrzeźbione, pełne szczegółów wzruszających, pomięszanych z drażliwemi rozprawami. Dramatyczna jego strona jest okropna; widać prawie nóż, który ma przeszyć żonę Klaudjusza.

Oktawiusz Feuillet co rok pisze po romansie. Wraz z George Sand'em jest on pilnym współpracownikiem dziennika *Revue des deux mondes*; Ostatni jego utwór, *Monsieur de Camors* nie doda nic do jego uczciwej sławy literackiej. Jako powieści tak samo pretensjonalna, surowa i wstydliwa jak i inne tegoż autora.

Ostatni romans sensacyjny, posiadający wielkie zalety, wyszedł z pod pióra młodego autora, Emila Zola. Tytuł jego jest *La famille de Rougon*. Jestto książka oburzona i surowo karcąca obyczaje i niemoralności drugiego cesarstwa. Zeskrobując pseudonimy głównych osób tego romansu łatwo dojść właściwych ich nazwisk. Z Emilem Zola jesteśmy w samem centrum realizmu. Autor jest dobitny w szczegółach i trafny w epitetach. Bez litości wykrywa on najszkaradniejsze i najciemniejsze strony namiętności ludzkich. W *Thérèse Raquin*, dziele najwyżej szacowanem, z chciwością i zaciekawieniem chirurga wycinającego raka, dyssekuje on nikczemną i wstrętną stronę zazdrości, miłości cielesnej i mściwości. Wszystko to pisane jest świetnie i nawet z pewnym wesołym odcieniem.

Mówiąc o Emilu Zola nie podobna pominąć braci Edmunda i Juljusza de Goncourt. Autorwie ci tworzyli kollaboację na podobieństwo Erckmanna i Chatriana; niedawno jeden z nich umarł. Są to mistrze szkoły realistycznej i wpływ ich na literaturę francuską jest niezaprzeczony. Nikt dalej od nich nie posunął zamiłowania w analizie, skromności w opisach, dokładności w szczegółach, które że tak powiemy, zmuszają ludzi i rzeczy do życia. Styl ich jest trafnie obrazowy, koloryt naturalny, wstrętny formie romantycznej i jeszcze więcej wstrętny klasycyzmowi. Są oni wrogami konwenansowych formułek i dążą do odrodzenia w XIX wieku języka Regnier, Agryppy d'Aubigné i Rabalais. Dzieła ich są długo studjowane i z rozwagą pisane. Obok kilka specjalnych studjów o obyczajach XVIII wieku, mamy cztery ich romanse. *Réné Mauperui*, *Germinie Lacerteux*, *Manette Salomon* i *Madame Gervaisais*, studjum mistyczne i realistyczne. Autorowie ci rozszerzyli dziedzinę romansu, robiąc z tego rodzaju ramy dla studjów natury i człowieka i z faktów wyprowadzając filozofję najpozytywniejszą i najzdrowszą.

Zaledwie trzeba tu mówić o George Sand; zdaje się że ta znakomita autorka nie należy już do naszego czasu. Kto jeszcze pamięta jej namiętne teorje w przedmiocie zreformowania obyczajów społecznych i emancypacji kobiet? Romanse pani George Sand wylęgają się bez hałasu i zapominają bez żalu. Z powodu ostatniej wojny wydała ona *Lettres d'un voyageur*, wrażenia osobiste, bardzo bezbarwne.

Romans stał się jedną z potrzeb francuskiego życia. Od czasu jak Girardin wpadł na pomysł skojarzenia go z polityką i dał miejsce w feljetonie dziennika romansom sensacyjnym, specjalni autorowie eksploatowali prawdziwą tę industrję. Dziś każden dziennik musi co rana przynieść prenumeratorom swój kontyngens okropności i skandalu, wyprowadzając tym sposobem na scenę obok rzeczywistych politycznych osobistości jeszcze i zmyślonych bahaterów romansu feljetonowego. Nie można twierdzić, by pomiędzy tymi autorami maszynami — nie było, ludzi z talentem, wyobraźnią, a nawet stylem. Z autorów romansu sądowego, który takie miał powodzenie za cesarstwa, można wymienić Adolfa Bellota, p. Zaccone, Gaboriau. Ponson du Terrail pisał odrazu pięć romansów do pięciu różnych dzienników. *Les avantures de Rocambole* roznamiętniały Paryż mieszczański i handlarzy, jak niegdyś „Tajemnice Paryża“ i „Żyd tułacz.“

W romansie historycznym Paweł Feval zbliża się do Dumasa ojca, nie posiadając wszakże jego formy, wesołości i prostoty w opowiadaniu. Dumas znowu ze swojej strony nigdy nie dorównał Walter-Skotowi, mistrzowi wszystkich romansopisarzy. (C. d. n.)

Wincenty Pol

z osobistych wspomnień

Wł. Bełzy.

(Dokończenie.)

Inne zdarzenie, które w roku bieżącym powtórzył mi ze wszystkiemi szczegółami p. St. Suffczyński, autor poematu „Moje sny“ — dowodzi czegoś więcej aniżeli owej znanej łączności duchów poetycznych, i jest nowym argumentem na poparcie Szekspirowskiego orzeczenia, że są rzeczy na ziemi i niebie o których nawet nie śniło się filozofom!

Wypadek ten, miał miejsce w Szczawnicy, w 1844 roku. P. Stanisław Suffczyński, najbliższy przyjaciel i powiernik Krasińskiego, — w powrocie z Paryża, odwiedził Pola w tem uroczem ustroniu.

— Słyszałem, rzekł Pol, że pan Zygmunt znowu coś bardzo pięknego napisał?

— Tak jest, odrzekł Suffczyński, wydał świeżo nowy swój poemat „Przedświt.“ Jestto jeden z najwspanialszych jego utworów.

— A jakże bym też rad go czytał! objawił Pol.

— Nic łatwiejszego, mam właśnie „Przedświt“ ze sobą.

— A to dawaj że go tu, dawaj! zawołał Pol zaciekawiony.

Za chwilę świeża lulka była już nałożona, Pol zasiadł wygodniej w krześle i był gotów do słuchania. Suffczyński dźwięcznym głosem czytał wiersze, co snują się niby drogocenne perły z naszyjnika indyjskiego Naboba. Na twarzy Pola znać było natężoną uwagę. Wypuścił lulkę, — w pół podniósł się z siedzenia i ognistemi oczyma wpatrywał się w czytającego; usta mu drżały i trząsł się na całym ciele febrycznie.

Aż kiedy czytający doszedł do tego miejsca, w którym cienie hetmanów przepowiadają wskrzeszenie Polski, gdy przyszedł na słowa:

Ja ci mówię żem szczęśliwy,
Polska moja, Polska będzie!

Pol omdlał ze zwruszenia.

Naturalnie, że Suffczyński przerwał czytanie i dopiero w kilka dni Pol już sam dokończył „Przedświtu.“

W jakiś czas potem, opowiadał Suffczyński owo zdarzenie Krasińskiemu.

— Nie kończ! przerwał Krasiński, ja ci wskażę ustęp przy którym Pol zemdlał... to mówiąc, wyjął książkę ze szafy i zagiął stronnicę: — A teraz mów!

Suffczyński wymienił wiersz odnośny, — a Krasiński pokazując na zagiętą kartę rzekł: — „Nieomyliłem się, prawda. Wiedz, że ja pisząc to w Monachium zemdlałem.“

Na takich to pogadankach i wspomnieniach, przechodziły owe posiedzenia ogródkowe u Aleksandrowej. Nie dziw, że i młodzież garnęła się do nich ochoczo, już to, aby przysłuchać się ciekawej gawędzie, już to aby ją dzielić i podsycać zapałem młodej fantazji.

A Pol lubiał młodzież i miał cudowny dar trafiania do jej serca. Pierwszym jego pytaniem było zawsze: — A proszę cię mój łaskawco, czyś ty blondyn czy brunet? — Gdy nieszczęście mieć chciało że ten, do którego stosowano pytanie, był brunetem, Pol kiwał z politowaniem głową i mawiał:

— Lekkoduchu! lekkoduchu! i co z ciebie będzie?

Dziwna ta niechęć ku brunetom, tembardziej niedaje się wytłómaczyć, że sam Pol za młodu, miał czarne jak krucze pióra włosy. To też każdy brunet, aby nienarazić sobie starca, zwykł był fałszować kolor włosów i na pytanie „czyś ty brunet“ odpowiadał:

— O! nie panie profesorze, na szczęście jestem ciemnym szatynem. Takich ciemnych szatynów miałeś pełno w Krakowie, a Pol cieszył się, że z nich będą ludzie!

Powiedziałem wyżej, że Pol lubił młodzież. Nie było młodzieńca, któryby oparłszy się o Pola, nie uzyskał od niego czy to protekcji, czy zapomogi czy wreszcie serdecznej zachęty do pracy. Wszyscy młodzi nieśli mu w hołdzie swoje prace, lub szukali u niego wskazówek do takowych. Tu widywałem Zygmunta Glogera, który pisał właśnie swoje studja etnograficzne o Podlasiu; tu szukał rady Wł. Miłkowski do swojej muzyki kościelnej; tu wreszcie Ordon i Wł. Tarnowski składali piękne owoce swojego natchnienia.

Pol był aż do pobłażliwości wyrozumiałym dla młodych. — „Młode piwko wyszumieć musi“ — mawiał, i zasłaniał powagą swoją nawet takich u których piwko zbyt długo szumiało.

Jeśli Pola zajęła jaka myśl nowa lub pięknie wypowiedziana, mawiał z ukontentowaniem:

— A proszę ja kogo! jakiemi to drogami on chodzi!

Pobłażliwym był również dla tych co to lubią, bez podania źródła, posiłkować się cudzemi myślami, strojąc się w nie jak we własne piórka. — At, — mawiał o takim Pol, — humański dureń, z cudzego wozu bierze a na swój kładzie, myśli że nikt się na tem nie pozna! I uśmiechał się dobrotliwie i poprawiał wąsa.

Sam energiczny — nie mógł ześć papinków, i zwał ich pogardliwie hermafrodytami. A gdym go zapytał o przyczynę tej nazwy, odparł: „Et, rano kiep — a popołudniu dureń i gadajże z takim!“

W stosunkach swych z młodą drużyną literacką, odszczególniał się Pol niezwykłą u innych delikatnością. Ilekroć przyszło mu wyręczyć się kimś młodszym, czynił to z taką przyjacielską dobrocią, że doprawdy aż miło było mu usługiwać. — „Starsi w cechu posługują się młodszymi“ mawiał, już tem samem dając do poznania młodzieńcowi, że go nie lekceważy — lecz owszem stawia się na równi z nim jednego cechu pracownikiem. To też czcigodny starzec miał pełno posyłek, jak swych satelitów po wojskowemu nazywał — że nie raz, aż nie żartem przyszło mu bronić się od tej gorliwości w służbie.

Nie mogę zapomnieć również o wielkiej nauce, jaką odebrałem od Pola na wycieczce w Justowej Woli.

Pol szedł wsparty na mojem ramieniu... Dzień był prześliczny; budząca się ze snu wiosna zasłała ziemię bogatym kobiercem a krzewy liściem. Pomieszane szczebioty ptaków rozlegały się w gaju i grały w echach po dalekich łanach. Pol szedł zadumany i rozrzewniony.

— Proszę Cię — przerwał nagle — wszak to szumi leszczyna?

— Tak jest, odrzekłem, — stoimy właśnie przy niej.

— A to lipa gada, odrzekł, postąpiwszy kilka kroków.

— Nieinaczej.

Tak szliśmy dalej, a Pol wymieniał mi po nazwisku drzewa, które mijaliśmy właśnie. Ślepy starzec, poznawał je po szumie liści, po zapachu... Gdym mu wyraził zadziwienie moje z tego powodu — odparł:

— Nie poeta, kto nierozumie głosów natury. Dla profana, każde drzewo szumi jednako, każdy strumień dzwoni na tę samą nutę; dla poety każdy listek powinien mieć swoją odrębną mowę. Przez zrozumienie natury — przychodzimy do poznania Boga.

Na podobnej wycieczce i w temże samem miejscu, w dniu 8. maja 1869 r. krakowska straż ochotnicza ogniowa, złożona w znacznej części z uniwersyteckiej młodzieży — podejmowała Pola; wtenczas to, miałem zaszczyt w imieniu kolegów witać Pola i przemawiać do niego. Na przemowę, odpowiedział Pol w następujących słowach:

„Po ciężkiej zimie przyszedłem odetchnąć tchem pierwszej wiosny i być świadkiem waszych zabaw ochoczych. Raczyliście mię odszukać w tłumie, wprowadzacie do swojego koła jako gościa. Dziękuję za ten zaszczyt i w prawicy komendanta ściskam was wszystkich. Piękne to powołanie stać na straży bezpieczeństwa publicznego; a wierzcie mi, nie ma szczytniejszego zadania dla Polaka i obywatela jak gasić złe ognie a żywić dobre. Więc niech żyją ci, co dobre ognie żywią a złe tępią!“

Głośne „niech żyje!“ było odpowiedzią młodzieży, która cisnęła się do Pola i gwałtem, na ramionach chciała go ponieść do Krakowa.

Nie zamknąłbym w tak szczupłych ramach mojej opowieści, o Polu — gdybym chciał przywodzić to wszystko co wiem z jego życia, na co patrzyłem własnemi oczami. Wiele faktów nie pora jeszcze przywodzić, — o wielu różne względy milczeć mi każą.

Na zakończenie, podzielę się z czytelnikami urywkiem z improwizacji Pola, którą mi zaczął dyktować; — lecz naprzód powiem w jaki sposób do niej przyszedłem.

Było to w lutym 1869 r. O godzinie czwartej po południu, przyszedłem jak zwykle do Pola, który był dziwnie rozżalonym dnia tego.

— Co panu profesorowi dolega? — zapytałem, dostrzegając w nim niezwykłe rozstrojenie.

— At, nic... machnął ręką i przeszedł się żywo po pokoju. A gdy mu chciałem podać rękę, z obawy aby niepotrącił się o jaki mebel, — odsunął mię lekko rzekłszy: —„Dziękuję, — ja jeografję mego mieszkania znam dobrze.“

Potem rozpogodził się i kazał mi wziąć pióro do ręki; po chwili podyktował wiersz następujący:

Myśmy kochali Polskę jak matkę,
Oni z tej Polski zrobili jatkę,
Jatkę, gdzie święte tej Matki ciało,
Pocięte w sztuki bez czci zostało.
Myśmy oddali w całopaleniu
Siebie na ołtarz, w świętem natchnieniu...
Oni targnęli się po ostatki,
Naszej spuścizny, tej świętej matki,
Jak głodne wilki lub psi niewierni.
Myśmy z tych naszych przyjęli cierni
To, co najbardziej duszę bolało...
Oni koronę skrwawioną całą
W błoto rzucili...

W traktcie tego weszli pp. Anczyc i Chłapowski i przerwali dyktowanie. Improwizacji tej, mimo kilkakrotnego przypomnienia z mej strony, Pol kończyć nie chciał. Zachowałem urywek jej na pamiątkę i dziś dopiero, w lat parę po śmierci wieszcza dzielę się nim z czytającymi, nie mając prawa uważać go dłużej za moją, wyłączną własność.

IDEALIŚCI.

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział I.

Trafiliśmy na podwójną uroczystość u pani Podwalskiej. Wydobyto najpiękniejszy serwis porcelanowy do herbaty i przystrojono ręce usługującego przy niej Macieja czy Michała, świeżemi białemi rękawiczkami. Polecono kucharce szczególną baczność na kotlety, zrobione podług pewnego przepisu, a pani Podwalska sama od czasu do czasu zaglądała do kuchni, czy wszystko jest tak, jak być powinno. Ksiądz Zygmunt Stodolski jadał tę potrawę z wielkiem upodobaniem, a ksiądz Zygmunt Stodolski miał tego wieczora, przy sposobności pierwszego majowego nabożeństwa do Matki Boskiej „naukę“ tak piękną, powiedzianą tak wymownie i głosem tak prosto idącym do serca, że pani Podwalska wróciła z kościoła cała we łzach i od głośnego łkania zaledwie zdołała zadysponować wieczerzę.

Nadzwyczajne to wzruszenie łatwem było do pojęcia dla każdego, co wiedział, że przepyszne kwiaty, zasłony muślinowe i inne ozdoby kaplicy kościelnej, w której odbywało się nabożeństwo, były darem pani Podwalskiej, że komża i stuła, w której ksiądz Zygmunt głosił słowo boże, były dziełem jej ręki, i że skromne te jej ofiary, na ołtarzu pańskim złożone, znalazły tego dnia większe uznanie i słodszą nagrodę, aniżeli jej pragnąć i oczekiwać śmiała pobożna dawczyni w pokorze chrześcijańskiego ducha. Ksiądz Zygmunt bowiem, mówiąc o Matce Zbawiciela, jako o ideale niedoścignionym wprawdzie, lecz podnoszącym kobietę chrześcijańską ponad poziom ziemski, wskazywał najpierw rozmaite przykłady niewiast, które idąc za tym najdoskonalszym wzorem, zajaśniały w blasku wielkiej świętobliwości. Wspomniał zwłaszcza obszerniej o owych niewiastach ewangelicznych, które podążyły do strzeżonego przez żołdactwo pogańskie grobu Chrystusa, ażeby ciało jego namaścić kosztownemi olejkami i rozmaitemi wonnościami Wschodu. W tem miejscu, zręcznie stosując ten przykład do dni naszych, kaznodzieja hojnemi pochwałami obsypał bogobojne damy, dbające o chwałę świątyni pańskiej.

— Niewiasto zacna i czcigodna! — zawołał zwracając się w stronę, w której klęczała pani Podwalska — niewiasto katolicka, która przyozdabiasz kwiatami przybytek pański, a jedwab i złotogłowie ścielisz u stopni ołtarza — nie zimny mur ty stroisz, ale ciało Syna Człowieczego, i dla tego tobie będzie danem, że pierwsza ujrzysz cud wielki, cud zmartwychwstania!

W tej to chwili pani Podwalska, czując że wszystkie oczy wiernych były na nią zwrócone, wybuchem głośnego płaczu zdradziła do reszty pobożną swoją tajemnicę i nikt już nie mógł mieć najmniejszej wątpliwości, że ona była ową niewiastą, o której mówił ks. Stodolski.

Wątpliwości tej nie miała zapewne i pani hrabina Odborska, która także ofiarowała kwiaty do Matki Boskiej, ale te jako mniej piękne umieszczono w innej, pośledniejszej kaplicy. To też pani Odborska niedosłuchawszy kazania, wyszła z kościoła, i chora kazała się odwieść do domu, co wśród łez zauważała pani Podwalska, i co niewątpliwie spowodowało ją do większego łez wylewu, gdyż anielskie jej serce martwiło

się zmartwieniem bliźniego, a więcej jeszcze grzechem, w jaki popadał ten bliźni — w tym wypadku hrabina Odborska — dając zazdrości przystęp do swojej duszy.

Nie będę zresztą obstawał przy tem, co bardziej martwiło panią Podwalskę, mam bowiem pewność historyczną jedynie co do tego punktu, że źrenice jej pełne były łez jasnych, przez których kryształ ksiądz Zygmunt, gdy mówił o cudzie zmartwychwstania, z wzniesioną ku niebu prawicą, zdawał się być owym aniołem, który odwalił kamień od grobu Jezusa i blaskiem swoim olśnił i przeraził żołnierzy rzymskich. Oblicze jego było w istocie tak młodociane i piękne, jak oblicze wysłannika niebios, nieoszpecone wąsem ani bokobrodami, eterycznie blade — i w tej mierze pani Podwalska nie zgadzała się ze swoją córką, panną Heleną, która jakkolwiek miała umysł niepowszedni, znajdowała, że niejaki pan Alfred Zgorzelski pod względem powierzchowności zbliżał się więcej do ideału piękności męskiej niż ksiądz Zygmunt Stodolski.

Ten pan Alfred od wielu lat był częstym gościem w domu pani Podwalskiej, i teraz właśnie, przyprowadziwszy obydwie panie z kościoła, pomagał pannie Helenie bawić towarzystwo, które zebrało się było w salonie, czekając na herbatę i na księdza Zygmunta, i które należało do sfer mniej nadziemskich, jakkolwiek w swoim rodzaju i kierunku także nie grzęzło tak głęboko w martwej glinie padołu ziemskiego, jak większa część śmiertelnych. Powiedziałem, że trafiliśmy do pani Podwalskiej na podwójną uroczystość. Podczas gdy matka jej gorliwie zajmowała się nabożeństwem majowem i wszystkiemi innemi nabożeństwami, zdarzającemi się w ciągu roku, panna Helena pielęgnowała poezję i sztuki piękne, a szczególnie muzykę. Grała na fortepianie i spiewała, a muzycy rozmaitego rodzaju bywali w skutek tego częstymi gośćmi w tym domu. Dnia poprzedniego, panna Helena wzięła była jako amatorka udział w koncercie, danym na cel dobroczynny, tego samego zaś dnia rano w „Przeglądzie Codziennym“ pojawiła się była recenzja, sławiąca nad wszelki wyraz jej produkcję wokalną i instrumentalną — w dziesięć godzin po koncercie, krytyka nie mogła bowiem opóźniać się ani chwili z hołdem należnym talentowi, tak jak kucharka pani Podwalskiej nie śmiała dać czekać księdzu Stodolskiemu na wieczerzę. Ażeby się usprawiedliwić z tego trywialnego porównania, muszę dodać, że pani Podwalska srodze bolała nad tem, iż strudzonego apostolską pracą kapłana nie czekało w jej domu na razie nic, oprócz kotletów i innego pokarmu — równie jak krytyk „Przeglądu Codziennego“ ubolewał, iż pióro jego zbyt jest słabem, a język zbyt ubogim, by pochwalić śpiew i grę panny H. P. w sposób odpowiedni.

Bądź co bądź, zaproszono na herbatę wielką część uczestników koncertu, i krytyka także. Przybył wielki mistrz tonów z długiemi włosami i z nieodstępnym, jak każdy wielki mistrz, adjutantem-amatorem, który miał jeszcze dłuższe włosy i znacznie bujniejsze, z powodu młodszego swojego wieku. Przybył spiewak odznaczający się wielkim brakiem dobrej tuszy i niemałym także brakiem wyższych, średnich, jakoteż niższych tonów głosu, ale znakomitą natomiast metodą — coś na kształt Napoleona, który umiejętnością strategiczną zadziwił świat najwięcej wówczas, gdy już nie miał armji i gdy sprzymierzona Europa ciągnęła na Paryż. Były i dwie młode panienki, z których jedna przypuszczoną była wczoraj do zaszczytu grania czegoś na cztery ręce z wielkim mistrzem, druga zaś deklamowała śliczny wierszyk o skowronku, o muszce, i o wietrzyku wiosennym, przeplatany pękaniem serca z przyczyn pozbawionych wszelkiej racji patologicznej, i zakończony wniebowzięciem między gwiazdy. Autorem tego ze wszech miar oryginalnego utworu był młody poeta, należący jako krytyk i pisarz pełen nadziei do składu redakcji „Przeglądu Codziennego,“ a jako młodzieniec złamany rozpaczą i w czarnej pogrążon zadumie, do rzędu cichych wielbicieli panny Heleny. Obydwie młodziutkie panienki otulone były moralnie, macierzyńskiem skrzydłem pani Trzecieszczakiewiczowej, najlepszej przyjaciółki pani Podwalskiej, i równem z nią przejętej uwielbieniem dla ks. Zygmunta Stodolskiego.

Uzupełniał to towarzystwo najpierw pan Alfred, o którym już wspominałem. Był to młody mężczyzna słusznego wzrostu, o pięknych, jakkolwiek nieco może miękich rysach twarzy, którym dodawały wszelako męzkiego wyrazu starannie utrzymane jeszcze wąsy i bródka. Świeża cera i ciemno-niebieskie oczy tak łagodne i dobre, że każdego z góry uprzedzały na jego korzyść, a zgrabne przytem i eleganckie ułożenie, wszystko to razem czyniło go nader ujmującym i miłym. Mówił dobrze i wytrzymywał bez szwanku francuską konwersację pani Trzecieszczakiewiczowej, która dla ćwiczenia swoich elewek nie mówiła prawie nigdy innym językiem. Pomagał młodemu poecie potępiać tendencję jakiejś książki, która się była pojawiła niedawno i o której treść dopytywała się młodziutka deklamatorka. Był pełnym zachwytu, gdy całe towarzystwo od czasu do czasu intonowało chórem chwałę wielkiego mistrza, obecnego w tem gronie, a ku wielkiemu tego wielkiego mistrza zadowoleniu wewnętrznemu ruszał lekceważąco ramionami, gdy wspomniano o Liszcie, albo o Tausigu. Jednem słowem, był to młody człowiek, który umiał być przyjemnym każdemu, i który zachowywał się ozięble tylko wobec jednego gościa w całym salonie.

Gościem tym był pan Tadeusz Zamecki, jegomość nieco już szpakowaty, nieco otyły, gruby przytem posesjonat i od niedawna wdowiec, jak świadczyła żałoba, którą nosił. Pani Podwalska, zmuszona nadzwyczajnemi tego dnia okolicznościami do częstego zaglądania do kuchni, poruczyła go była szczególnej opiece panny Heleny, między niego tedy i między wielkiego mistrza dzieliła córka gospodyni domu ową wyższą dozę towarzyskich względów, jaką się obdarza gości rzadszych i znakomitszych. Może to raziło pana Alfreda? Wszak miał prawo uważać się niedawno za domowego u pani Podwalskiej, i nie mógł urażać się tem, że go rzadszy przybysz na drugi plan spychał. Oprócz tego, p. Zamecki mimo wszelkiej attencji, jaką mu wyświadczano, nie zdawał się bynajmniej zgadzać z całem towarzystwem. Wielkiemu mistrzowi przyznał się otwarcie, że woli „wyraźnego“ mazura albo polonesa, niż wszystkie kompozycje, które słyszał na wczorajszym koncercie. Panią Trzecieszczakiewiczowę zgorszył zdaniem, że wieczorne nabożeństwa są nadmiarem zbytecznym, i powołał się w tej mierze na swojego proboszcza na wsi, który miał powiedzieć z ambony, że całodzienne siedzenie w kościele jest próżniactwem i obrazą Boga. Najgorzej zaś starł się z młodym poetą, który świegotał jak skowronek o swoich ideach, i jak muszka tonął w liryzmie, i znowu jak wietrzyk wiosenny dmuchał w żar swojego serca, wydobywając zeń tym sposobem wulkaniczne wybuchy uczucia, od których snać gorąco się robiło młodej deklamatorce, bo jej pani Trzecieszczakiewiczowa poleciła napić się natychmiast wody. Wezuwiusz poetyczny skierował natychmiast w tę stronę potoki swojej lawy i odurzył zacną matronę twierdzeniem, że tylko katolickie narody zdolne są do poświęceń, a wyraz protestant jest synonimem egoisty.

— Mój panie — odezwał się na to p. Zamecki — zadajesz pan kłam oczywistej prawdzie. Nie wiem, czy temu winien katolicyzm, ale to wiem, że dwa katolickie narody: Polska i Francja, odznaczają się brakiem tego najważniejszego poświęcenia, którem stoją i utrzymują się państwa — brakiem karności, mój panie, a brak ten jest skutkiem egoizmu jednostek. Przypatrz się pan Niemcom i Anglikom, i powiedz mi pan, czy nie lepiejby nam było, gdybyśmy byli jako ci celnicy luterańscy!

— *O Sainte Mère de la miséricorde!* — jęknęła pani Trzecieszczakiewiczowa, i poczęła zajmować swoje elewki rozmową szeptaną do ucha, podczas gdy Wezuwiusz huczał i burzył się wewnątrz, ale nie mógł zdobyć się na odpowiedź. Pan Alfred przyszedł mu w pomoc.

— Niemiec i Anglik, mojem zdaniem, jest więcej maszyną niż człowiekiem, maszyną nastrojoną do tego, aby dbała o byt materjalny. Taka maszyna nie ma ambicji, nie ma własnej woli, nie czuje swojej godności. My mamy poczucie honoru wysoko wyrobione, i gdybyśmy stracili wszystką inną wiarę, zostałaby każdemu z nas jeszcze wiara w honor, bo honor jest naszym bogiem!

— Fałszywy to bożek, panie Zgorzelski, a gdyby nawet był prawdziwym, potrzebaby go czasem poświęcić dla wspólnego dobra.

— Wszystko, wszystko można poświęcić — zawołał pan Alfred z zapałem — ale honoru nigdy!

— Et — rzekł p. Zamecki od niechcenia — wszak można go przegrać w karty!

Z łagodnych, niebieskich oczu pana Alfreda strzelił w tej chwili jakiś żółty piorun, ale błysnął tylko bez grzmotu. Nastąpił moment niemiłego milczenia i pewne uczucie niepokoju owładnęło wszystkich obecnych, chociaż nikt nie umiał zdać sobie sprawy z powodów tego wrażenia. Pan Alfred odzyskał jednak szybko na swojej twarzy wyraz natchnionego zapału, i podjął rozmowę na nowo.

— Zresztą, zarzucając dwom narodom egoizm indywidualny, zapominasz pan dobrodziej o Polkach i o Francuskach, a przedewszystkiem o Polkach! Tym nie zechcesz pan z pewnością zarzucać egoizmu?

— Więcej one dały dowodów poświęcenia i heroizmu niż inne kobiety, ale najliczniejsze wyjątki nie stanowią reguły. Faktem jest, że kobiety u nas rej wodziły, i że jeżeli buta i swawola mężczyzn zgubiły ojczyznę, wielka część winy ciąży na kobietach. Co to się łudzić panie dobrodzieju!

— Nie rycerskie to słowa, panie Tadeuszu — przemówiła panna Helena.—Wy to macie ambicję, wy stawiacie wasze ja, ponad wszystko, a od nas wymagacie tylko ofiar i poświęcenia, którego wam dajemy codziennie dowody. Wstydź się pan swoich zarzutów!

(C. d. n.)

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Na pół drogi od Krakowa, spotkałem się z porucznikiem Hunkowskim, z 2. ułanów, który przed rewolucją był na urlopie w domu na Ukrainie, a nie mogąc się dostać do Polski, błąkając się po kraju, dostał się do formującego się na Wołyniu oddziału, pod dowództwem Karola Różyckiego, i z tym, staczając ciągłe z Moskalami boje, i ciągle się formując we 3 szwadroniki dostał się do Warszawy. Ztamtąd pojechał do Krakowa, żeby się tak jak ja oporządzić, i pieniądze z tego samego co i ja miejsca odebrać, i zaraz wrócić w Sandomierskie, gdzie oddział Karola Różyckiego przyłączony był do korpusiku generała Szeptyckiego. Wesołośmy jechali; Hunkowski miał duży wóz, na który i ja z nim siadłem, konie zaś moje z człowiekiem szły przy stójce, od stacji do stacji branej. Przebyliśmy granicę, a w Krakowie stanęliśmy w hotelu Męciszewskiego, mego niegdyś kolegi w akademji lwowskiej. Po zmianie toalety, udaliśmy się natychmiast do Skrzyńskich, gdzie nas oboje z największą serdecznością przyjęli. Sama Skrzyńska jeszcze na ten czas bardzo przystojna kobieta, kuzynka moja, która nawet z moją starszą siostrą razem pod okiem matki mojej się wychowywała, była jedna z najmilszych kobiet w towarzystwie, on zaś bardzo wesoły i gościnny; brat pani Skrzyneckiej żony naszego wodza; zajmował się w Krakowie przesyłaniem broni, i rozmaitych efektów przychodzących z Galicji dla nowych formacyj. Ale te wszystkie przesyłki, szczególnie broń palna dla piechoty, na której kupcy lwowscy ogromnie zarabiali, była po większej części tak lichą, że na 10 karabinów ledwie 2 a najwięcej 3 były do użytku. Lepiej szło z bronią sieczną, siodłami, munsztukami, suknem, butami i t. p. a najlepiej z przesyłkami gotówki, która najsumienniej komitetom oddawaną była. Co się potem z temi pieniędzmi robiło, zakryte jest przed oczami ludzkiemi grubą, nieprzeźroczystą zasłoną...

Parę dni w Krakowie przebyłem bardzo przyjemnie; tylko mnie gniewała ta niezliczona ilość szlifujących bruki oficerów, którzy od czasu nominacji i przypięcia epoletów, nie mogli się zdobyć na opuszczenie tego starożytnego grodu.

Dnia jednego rano, przyszedłszy na śniadanie do cukierni, zastałem tam kilkunastu tych walecznych; niektórzy nawet w sztabsoficerskich szlifach. Siedzieli koło dużego okrągłego stołu i rezonowali. Jeden z nich bardzo młody jakiś major, nominacji regimentarza Małachowskiego, pewnym i stanowczym głosem zapytuje obecnych:

—Dla czego też naczelny wódz siedzi spokojnie i żadnej decydującej nie wydaje bitwy?

— Mój zięć zapewne czeka na panów, i dla tego, bez ich rady i współdziałania nie może nic ważnego rozpocząć — nagle, jakby wręcz w odpowiedzi, odezwała się głośno do tych panów, wchodząca dama.

Damą tą była pani Kochanowska, matka p. Skrzyneckiej, znana w Krakowie z dowcipu i śmiałości, w wypowiedzeniu myśli swoich.

Panowie oficerowie nie czekając na wydanie reszty, czem prędzej się powynosili — a obecni tej awanturze śmieli się serdecznie. — Podobne obrywki bar zo często się tym panom dostawały, ale nie mogły zmienić ich stałego przedsięwzięcia nie opuszczania murów Krakowa.

Zastałem także w Krakowie rannych: generała Błędowskiego, Edwarda Fredrę, który już o kulach chodził, i Augusta Krasińskiego. Tudzież pułkownika Smarżewskiego, który przyjechał po broń i efekta dla formującej się legji nadwiślańskiej pieszej w Stobnicy, której był szefem; z nim przybył także szwagier jego Maurycy Kraiński porucznik, obadwa moi dawni znajomi. Ponieważ naonczas Kraków miał bardzo lichy teatr tak co do budowy jak i co do aktorów, więc przybyli ze Lwowa Nowakowski, Benza i podobno jeszcze ktoś trzeci, już nie pamiętam i z wielkiem zadowoleniem tamtejszego towarzystwa występowali na scenie. Grano sztuki do czasu i okoliczności zastosowywane, po większej części bardzo małej wartości dramatycznej, ale z wielkiemi oklaskami przyjmowane przez publiczność.

Od artystów tych, z którymi byłem w bardzo dobrych stosunkach, dowiedziałem się wiele szczegółów o Lwowie, których mi zupełnie brakowało, a ponieważ wkrótce już wyjeżdżać mieli, więc poczciwy Nowakowski podjął się zabrać i pooddawać po powrocie moje listy; co też sumiennie dotrzymał. Pożegnałem się z nimi serdecznie, nie spodziewając się, że za trzy miesiące sam się do Lwowa dostanę.

Byłem także w komitecie w którym zasiadali pp. Morsztyn, Wężyk i wielu innych. Złe wiadomości dochodziły ich z Warszawy, ale ich publicznie nie rozsiewali.

Moskale z pomocą Prusaków stawiali most pod Nieszawą; małe oddziały kozaków już przeprawiały się na lewy brzeg Wisły, włóczyły się po kraju, i utrudniały komunikacje ze stolicą.

Te i tym podobne wiadomości spowodowały, że nazajutrz zaraz rano miałem wyjechać z Krakowa w nadziei, że się jeszcze do Warszawy dostanę. Z tego powodu Skrzyńscy sprosili na wieczór do siebie swoich i moich znajomych. Do późnej nocy bawiliśmy się wesoło; wiele się wypiło wina wznosząc najrozmaitsze toasty; nakoniec pożegnawszy się serdecznie z całem towarzystwem uściskawszy obojga Skrzyńskich, nie bardzo pewną nogą wszedłem do hotelu; przespałem się bardzo krótko, równo ze dniem opuściłem Kraków. Maszerowałem przez Igołomią, gdzie od urzędników komory i od oficera weteranów, na inspekcji będącego, słyszałem coraz bardziej zatrważające wiadomości. Postanowiłem więc iść prosto do Kielc, zeby widzieć z pewnością, jaki jest stan rzeczy w kraju. Gdy tak maszeruję i rozmyślam, deszcz' się zaczyna puszczać i cały dzień leje. Przenocowałem w miasteczku którego nazwiska nie pamiętam, zkąd wyjechawszy bardzo rano, stanąłem w Kielcach południem. Jakież moje było zadziwienie patrząc na wjeżdżających z przeciwnej strony do tego samego co i ja hotelu, pięciu oficerów pułku lubelskiego, który w Warszawie zostawiłem. Powód ich przybycia był następujący.

W Warszawie zaczęło brakować furażu po opanowaniu prawego brzegu Wisły przez Moskali; więc uradzono żeby wysłać pierwszy dywizjon pułku lubelskiego, w okolicę Włocławka, dla rekwirowania owsa, siania i zboża, bo to była część kraju bardzo żyźna i nic prawie nie spustoszona.

Dywizjon poszedł pod komendą dowódcy 1. szwadronu kapitana Staminowskiego, a że to była tylko egzekucyjna komenda, więc niektórzy oficerowie, nie mając ochoty do takiej wyprawy, prosili pułkownika żeby ich zastąpił nadkompletnymi, których dużo w pułku było; raptem dowiedziano się, że Moskale na granicy pruskiej pod Nieszawą wystawili most i na lewy brzeg Wisły przechodzą!!

Pułkownik zaniepokojony o dywizjon, wydał rozkaz ażeby jak najprędzej pozostali oficerowie pomaszerowali do objęcia miejsc swoich w szwadronach ku Włocławkowi. Tymczasem dywizjon ten eskortując już to co mógł dostać z furażu, napadnięty nagle pod Kołem przez kozaków — po walecznem odparciu ich do Warszawy wrócił, a oficerowie idący na jego spotkanie, rozminąwszy się w drodze odcięci zostali przez Moskali, którzy z główną armją przeszedłszy most pod Nieszawą, zalali część kraju aż do Łowicza, gdzie podał rękę korpusowi Ridigera, któren się także przeprawił przez Wisłę pod Kazimierzem; oficerowie, którzy się zemną spotkali teraz, byli to kapitan 2. szwadronu Radzimiński, kapitan zarotowy 1. szwadronu Rulikowski Kajetan, jeden z pierwszych co wraz ze mną i dwoma jeszcze galicjanami, na odgłos powstania, do Królestwa polskiego przeszedł, oraz podporucznicy Chamiec Edward, Konotkiewicz były budowniczy z Lublina i Koliński ze szkoły górniczej. Wszyscy bardzo zdatni oficerowie. Jeżeli z jednej strony bardzo uradowani byliśmy ze spotkania się, to z drugiej, niespokojność co mamy dalej z sobą robić, oraz pogląd na smutne następstwa wojny, które już łatwo przewidywać się dawały, mocno nas zasmuciły. Nie tracąc czasu, po lekiem śniadaniu i oporządzeniu trochę przemokłych mundurów, poszliśmy wszyscy do kancelarji sztabu generała Weissenhofa, gdzie zastaliśmy tylko jego szefa sztabu pułkownika Zaderę, bardzo cierpkiego człowieka. Zapytany przez nas, co mamy z sobą robić, powiedział:

— Dostać się do Warszawy nie możecie, bo komunikacja przecięta; ale jeżeli macie ochotę bić się, to jest obecnie w sandomierskim korpus generała Różyckiego, dowódcy wojennego w trzech województwach: sandomierskim, kaliskim i krakowskim. Mogę panom wydać marszruty żebyście go wyszukali, bo w tej chwili nie wiemy w którem miejscu się znajduje — a obracając się do mnie: — Pan należysz z 4. szwadronem legji nadwiślańskiej do korpusu rezerwowego i tu zostać musisz.

Bardzo mi nie na rękę było to opowiadanie Zadery.

— Panie pułkowniku, rzekłem, z raportu jaki podałem do generała Weissenhofa przed kilku dniami, musisz pan wiedzieć, że ja już do 4. szwadronu legji nadwiślańskiej nie należę, gdyż dostałem rozkaz od niego jako adjutant przybyć; oto jest jego rozkaz.

— Ja raportu pana nie czytałem, p. generał mi go nie komunikował, a bez jego rozkazu marszruty panu nie dam.

— Pozwoli p. pułkownik, że pobiegnę do generała, i zapytam. Wyszedłszy w tej intencji, spotkałem go jak miał do domu na objad wchodzić. W tym momencie przyszła mi dobra myśl. Wracam tedy do kancelarji, gdzie zastałem jeszcze moich kolegów.

— Widziałem p. generała, na to panu pułkownikowi daję słowo honoru i to była istotna prawda; a dalej z całą bezczelnością:

— P. generał rozkazał wydać mi marszrutę.

— Więc dobrze — odwrócił się do pisarza;

napisz aspan marszrutę dla p. kapitana Komorowskiego do Warszawy.—Cierpko się uśmiechnął, podpisał, pożegnał nas kiwnieniem ręki i poszedł. Jakeśmy już byli na ulicy, zapytał mnie Kajetan R. czy serjo byłem u generała?

— Ani mi to w głowie nie było, spotkałem go to prawda, szedł na objad, to druga prawda, alem ani słowa nie gadał. Wiedziałem że Zadera nie przepuści, ażeby kto łgał prosząc się o wyjazd tam gdzie kule świszczą, a zresztą znam zwyczaje generała; jak raz do stołu zasiądzie, i butelką bawić się zacznie, a potem drzemkę zrobi, to ja już będę za Kielcami, a gonić za mną nie będą.

— Jedźmyż więc wszyscy dziś jeszcze; rzekł Rulikowski, jako też zaraz po objedzie, przy którym spotkaliśmy kilku znajomych, między innymi por. Jabłonowskiego z jazdy Augustowskiej, co się potem w Galicji ożenił z piękną panną Trzecieską, sam bo był także bardzo ładny i tęgi chłopak, bawił w Kielcach dla zdrowia, i już był rekonwalescentem; oraz kapitana Harnowskiego, szefa sztabu generała Szeptyckiego. Szeptycki miał w Sandomierskim mały korpusik, który później został oddany pod komendę gn. Rożyckiego. Od Harnowskiego dowiedzieliśmy się gdzie ten korpus stoi, bo dopiero przed dwoma dniami go opuścił, przyjechawszy do Kielc po pieniądze na żołd dla żołnierzy i gażę dla oficerów.

Zaraz po objedzie posiodłano konie, Jabłonowski nas do pierwszej wioski odprowadził, obiecując że się wkrótce z nami złączy, co też rzeczywiście dotrzymał. (C. d. n.)

Ostatnia pieśń Januszowa.

Niedrukowany wiersz

WINCENTEGO POLA

znaleziony w pośmiertnych papierach Poety.

Niech Bóg łaskę swoją daje!
Gdy przed Wami jeszcze staje
Śpiewak pieśni stu!
A gdy koło już dobiega —
To Wam jeszcze pieśń u brzega
Trzeba złożyć tu!

Pieśń — i pieśni serce niosło:
W pieśni żyło — w pieśni rosło —
Ot i zbiegło z lat....
Cóż Wam jeszcze będę gadał?
Kiedym duszę wyspowiadał
Na ten Polski świat.

Niech nikt lekko nie ocenia,
Pieśni ducha i natchnienia
Kto chce w dziejach żyć!
Bo pieśń z Boga idzie zbożna:
O! a bez niej to nie można
I narodem być!

W erze pieśni pieśnią stojem —
Gdy świat trzeźwy z niepokojem
Wżył się w życia kał!...
I miłości tylko siejem —
Kiedy w ziemi wróg złodziejem
Krew serdeczną lał.

Jeślim jęknął w tej boleści:
To krzyk duszy mięjcie w cześci,
Jak Ojczyzny jęk!
Bo krzyż dźwignąć nie tak snadnie!
Kto go nie niósł — ten nie padnie,
W on śmiertelny lęk!

Co w Was żyło — to podniosłem —
I wraz z Wami w pieśni rosłem,
Jako wierny druh:
A z zapałów i z miłości
Sercem czyści, duchem prości
Wzięli polski duch!

Co z Bożego było daru —
To Wam dałem jak z puharu:
I wypity jest!
I obeszła pieśń koleją
Sercem, wiarą i nadzieją
Jako krwawy chrzest!

Jam szedł wiernie Piastów niwą —
A me serce trumną żywą
Było przez mój wiek:
By umarłe z grobu wstało
I kochane ukochało
Was na wieczny wiek!

Nie zwątpiłem w żadnej dobie:
Bom na Bogu — nie na sobie
Założył mój grunt!
I do walki powołany
Brałem pęta i kajdany:
Był to Boży bunt!

Była chwila po pogromie,
Gdzie stać mogła na wyłomie
Tylko pieśń jak duch!
Pieśń jak upiór i jak mara:
Aż znów miłość, aż znów wiara
Pchnęła dusze w ruch!

Wskrzeszać zmarłe do żywota —
Owo polska siła, cnota!
To nasz w dziejach prąd!...
Jest krzyżowy rycerz polski —
I jest Zakon Apostolski:
I ztąd chwała — ztąd!

Nie umiecie dobrej sławy,
Wielkiej myśli, świętej sprawy,
Podjąć — kiedy czas:
Ztąd czekamy już od wieka
Wielkich czynów i człowieka...
Próżno pośród nas!...

Inni wielkie myśli rodzą —
Inni wielkie myśli wodzą
I wcielają w czyn:
Lecz tam sztandar i wódz stanie —
Gdzie bez granic miłowanie
Pojmie każdy syn!

Miłość — miłość i ofiara!
To narodu rola stara,
Którą przeszedł pług!
Taką rolę wyoraną —
Polskiej dziatwie w spadku dano
A siał ją sam Bóg!

Dla Was tylko jedna droga:
Ta — co wiedzie wprost do Boga
Wasz dziejowy szlak!
Kiedy serc tysiące wtórzą —
Myślą wieku, wieku burzą,
Na jedności znak!

„Służby! pracy! ładu! miary!
I miłości! i ofiary!"
Woła na nas wiek —
Bożym wzorem kto nie umie
Stać w miłości i w rozumie:
Luźny w ziemi człek!

Miłość z ducha i z tych kości:
Karność pierwszy akt miłości
I tutaj i tam!
Marnie przejdzie, zejdzie marnie
Kto nie stanie w Bogu karnie
U dziejowych bram!

Stańcie w Bogu — w prawdzie nadzy!
Owo droga jest do władzy
Jaką daje Bóg:

Bez pokory wielkich duchów
Nie ma władzy, ni posłuchów,
Ani w życiu dróg!

Tajne ścieżki, drogi kręte,
Od niewoli synów wzięte
Rzućcie od się precz!
W nędznej pracy serce stygnie —
Kto padł duchem — ten nie dźwignie
Archanioła miecz!

Archanielskich trzeba mieczy
I mądrości, by w odsieczy
Zdobyć palmę palm!
Gdy do walnej przyjdzie bitwy
Nie czas wtedy na modlitwy
Ani też na psalm!

Czy tak będzie z Wami zawdy
Że wy nigdy nagiej prawdy
Nie zdołacie znieść?!
Że mieć chcecie w nienawiści
Tych, co dobrzy i co czyści,
Choć im świat niósł cześć?!

Dumaż, chciwość Was w obłędzie
I niezgoda wodzić będzie?
Czy tak będzie zawd?!
Że Wasz obóz bez starszyzny,
Bez karności — i spuścizny
Bożych będzie prawd?

Jam ze światem się nie liczył —
Ale mnie świat pokaléczył
Gdy mnie liczyć jął!
Krótka liczba: w walce stałem —
I z miłością ziemi dałem
Com od Boga wziął.

Gdy za lichą losów gwiazdą
Począł kalać polskie gniazdo
Podły z rodu ptak:
Jam umarłych wskrzesił w grobie —
By świadectwo dali tobie:
Że nie było tak!!

A pojmiecie? co to trzeba:
Chwycić iskrę życia z nieba
By umarły wstał! —
I o wierze, i o wieku,
O narodzie, i człowieku
Sam świadectwo dał!!

Gdzież spiewaki? — Było tylu!
Dziś ostatni już na chylu
Pieśń ostatnią gra! —
Gdzież słuchacze? — Ach! jak wielu
Do jednego biegło celu...
A dziś — kto ich zna?!

Gdzież są tamci, co słuchali
Pierwszych pieśni grania fali,
Co płynęła w świat?...
Gdzież słuchacze moi wcześni?
I kto śledził ciąg mych pieśni?
Kto żyw z onych lat??...

O tyś jeszcze ziemio żywa!
I nadzieją miłościwa!
Jest Bóg tu i tam!
Hej! mogiły — skały — zdroje!
Stepy! orły! dęby moje —
Was ja jeszcze mam!

Bóg skrzętnemu żyzne kraje,
A dzielnemu wolność daje,
W wielkim rządzie swym —
Więc obrońcy ziemi męztwo,
Wiernej duszy da zwycięstwo
Nad ciemnym i złym!

Bądźcie zdrowi! — i szczęśliwi!
Czulsi, lepsi, radni, żywsi,
Niż nam wolno być —
I daj Boże w starym dworze
W chacie ludu i w klasztorze
Pieśnią z Wami żyć!

Tą miłością, jakąm witał
I o serca Wasze pytał,
Żegnam dzisiaj Was,
Resztą pieśni niedogranych
I pamiątek ukochanych...
Czas do domu — czas!...

POGADANKI.

XIV.

Drugi tydzień tego miesiąca nadzwyczaj był obfitym w przejścia rozmaitych bóstw mitologicznych. Nietylko Wenus przeszła przez tarczę słońca, a Jowisz i Mars przeszli tak blisko koło siebie, w konstelacji Dziewicy, że jeden mógł drugiemu podać ognia do cygara albo w razie mniej dobrych stosunków dyplomatycznych, zaaplikować mu szturchańca w bok — ale nadto, jak zapewniają, Bachus wdarł się w lwowski przybytek Talii, Euterpy, Terpsychory i Melpomeny i przechadzał się po jego deskach nader chwiejnym i niepewnym krokiem. Inwazja ta napełniła grozą dziesiątą, Grekom i Rzymianom nieznaną muzę, zacną panię Publicystykę a z organów jej, „Gazeta Lwowska" dostała natychmiast spazmów, „Gazeta Narodowa" okropnych i niebezpiecznych kurczów, „Dziennik Polski" zaś aż oniemiał ze wstydu i oburzenia. Z kolei, wypada i „Tygodniowi" albo odezwać się, albo milczeć w tej sprawie. Jestem tedy upoważniony oświadczyć pomienionemu bożkowi Bachusowi, *vulgo* Dyonizosowi, że gościnne jego występy nie mogą być tolerowane, i że w ogóle muzy zbyt są dziewiczemi, by mu było wolno zataczać się na nogach tam, gdzie one śmieją się, płaczą, śpiewają, gędzą lub tańczą. Impertynencji tej pozwolić sobie może zresztą po przedstawieniu, ale nigdy przed takowem, i mam niepłonną nadzieję, że zaniecha on jej na przyszłość.

Demon zieleniaka, kontuszówki i szampana okazał się w tym wypadku nierównie mniej zręcznym, niż doktor *Ox* w powiastce, którą pod tym tytułem wydał niedawno Juljusz Verne. Mieszkańcy flamandzkiego miasteczka Quiquendone obdarzeni byli od natury niesłychaną flegmą. Burmistrz Van Tricasse i radca Niklaus potrzebowali czterech godzin na rozmowę złożoną z dwudziestu czterech słów, a pierwszy z tych dygnitarzy uchodził za największego mędrca z powodu, iż w ciągu trzydziestoletniego urzędowania nie powziął najmniejszej decyzji w sprawach, które od wieków już oczekiwały załatwienia. *Tout comme chez nous*. Gdy wieża miejska groziła zawaleniem się, odroczono w radzie gminnej rozprawę nad jej naprawieniem na trzy miesiące, a gdy wszczął się pożar w bazarze, w którym przedawano skóry, spokojna ta korporacja obradowała przez dwa lata nad środkami ugaszenia ognia. *Tout comme chez nous*. Od dziewięciuset lat nie pamiętano w mieście żadnej sprzeczki ani bójki, koza była próżną, a komisarjat policji synekurą—*pas tout à fait comme chez nous*. W Quiquendone nawet konie nie stawały dęba i nie wierzgały, byki nie bodły, psy nie kąsały, koty nie robiły użytku ze swoich pazurów. Teatr także odpowiadał miejscowym pojęciom, jeden akt Hugenotów zapełniał tam cały wieczór, trwał bowiem od godziny piątej po południu do dziewiątej, z powodu iż tempa takie, jak *vivace* albo *allegro* nie były zupełnie używane w Quiquendone. Śpiew Figara w pierwszym akcie „Cyrulika Sewilskiego" zajmował godzinę czasu, i przyjmowany był oklaskami, przy których upływało pięć minut między jednem a drugiem uderzeniem dłoni, bo publiczność składała się z ludzi poruszających się na ulicy z szybkością dwunastu cali w trzech sekundach, tj. mniej więcej, z szybkością pospiesznego pociągu na kolei żelaznej węgiersko-galicyjskiej. W tem przybył doktor Ox i uzyskał od władz municypalnych pozwolenie kładzenia rur w całem mieście, własnym kosztem, w celu oświetlania ulic, lokalów publicznych i prywatnych, gazem tleno-wodorowym. Był to jednakowoż tylko złudny pozór, doktor Ox miał bowiem w sekrecie zamiar czynienia eksperymentów fizjologicznych i sfabrykowawszy ogromną ilość tlenu (kwasorodu, *oxygenium*) pewnego popołudnia, gdy właśnie dawano czwarty akt Hugenotów, nasycił tym gazem atmosferę sali teatralnej. Skutki były zadziwiające. Każde *andante maestoso* grane było w takcie galopady, śpiewacy i śpiewaczki, orkiestra i publiczność, wszystko to było w stanie niesłychanego ożywienia i gorączkowej ruchliwości. Raoul i Walentyna, zamiast się kochać, omal się nie wzięli za włosy, a kiedy spiskowcy przysięgli śmierć kacerzom, burmistrz i inni poważni obywatele porwali się z krzeseł i rzucili się za nimi. Recenzenci dzienników rozanimowani byli także i nazajutrz nie wspomnieli w krytykach o tym skandalu, dzięki któremu przedstawienie trwało tylko ośmnaście minut, a zacny Van Tricasse wrócił do domu bez peruki, pani Van Tricasse bez salopy i bez jednego trzewika, a panna Van Tricasse bez rękawiczek i wachlarza. Przespawszy się dopiero, wszyscy odzyskali zwykłą flegmę i przytomność umysłu.

Z czego wynika, że bożek Bachus, jeżeli chciał debiutować we Lwowie z powodzeniem, powinien był zagościć nietylko na scenie, ale w lożach, na krzesłach, na parterze, i wszędzie. Na wszelki wypadek, rzecz nie jest nie do przebaczenia, pod warunkiem, aby się więcej nie powtarzała.

* * *

Jako piękny podarunek na kolędę, pojawiła się w Wiedniu w przepysznem wydaniu pierwsza serja szkiców pośmiertnych Artura Grottgera. Wydawcami są pp. Miethke i Wawra, tekst niemiecki pisał p. Alfred von Wurzbach. Pierwsza karta obejmuje krótki życiorys nieodżałowanego artysty, druga, jego portret, rysowany w r. 1866 w Krakowie. Pod nim, umieszczony jest wiersz, w rzewny sposób objaśniający naturę i przedmiot wydawnictwa:

„Bunte Blüthen, die im Fluge
Flücht'ger Jahre, Deine Hand
Von dem Baum des Lebens pflückte
Und nicht mehr zum Strausse band;

Blätter, von den Strahlen Deines
Blicks oft sorgenvoll bethaut —
Sind, wie sturmverweh'te Blumen,
Fremden Händen anvertraut.

Und die wissen nichts des Bessern
Als wie Du auch thatst zuvor:
Bunt in einen Strauss zu flechten
Deiner Blumen duft'gen Flor."

Następuje szesnaście szkiców, między któremi zupełnie wykończone są najpierw dwa, pod tytułem „Bóg i Ojczyzna," przypisane Stasiowi Sawiczewskiemu, siostrzeńcowi poety — jakoteż po części trzy inne, należące do szeregu rysunków, któremi Grottger zamierzał ilustrować Króla-Ducha Słowackiego. Umieszczono je tutaj pod napisem: „Córki króla Popiela," i pod dwoma z nich umieszczono odpowiednie zwrotki z poematu polskiego, ale w egzemplarzu, który mam przed sobą, popsuto przez nieznajomość języka porządek rysunków i tekstu: zwrotka umieszczona pod szkicem IV. powinna znajdować się pod piątym, i odwrotnie. Ten ostatni szczególnie jest piękny: przedstawia on najmłodszą córkę Popiela, poprzedzoną barankiem i z motylkiem nad głową. Jak wiersz Słowackiego, tak więcej jeszcze rysunek Grottgera przypomina jak często autor Króla-Ducha zapożyczał się u drugich: jest to dziewczyna z drugiej części „Dziadów." Kilka przecudnych główek kobiecych, kilka kompozycy zaledwie niektóremi kreskami na papier rzuconych, następuje tu z kolei. Niektóre z tych kart świadczą, że koledzy-malarze znali tekę Grottgera. Organista z pierwszego szkicu, przypisanego małemu Sawiczewskiemu, figuruje żywcem jako doktor w pewnym później komponowanym obrazie, który znam — a i „Chłopczyk płaczący" znalazł ponoś naśladowców. Koniec zbioru stanowią trzy rysunki pod tytułem „Kolęda," zachwycające prostotą. Przedstawiają one narodzenie Chrystusa, pokłon mędrców ze Wschodu i pokłon pastuszków — nie hebrejskich oczywiście, ale naszych, z nad Wisły, w białych sukmankach i rogatych krakuskach. Legenda biblijna przetłumaczona tu jest na nasz język ludowy, i śmiało powiedzieć można, że zyskuje na tem. Najświętsza Dziewica klęcząca nad dziecięciem, podczas gdy z daleka zdążają mędrcy na miejsce cudu, jest więcej dziewiczą i świętą niż najsławniejsze madonny — a pobożny zachwyt maluje się w twarzach chłopaków krakowskich z idealną prawdą, której najwięksi malarze religijnych obrazów tak uderzająco oddać nie umieli.

Jan Lam.

FAUST.

Nowella rossyjska w dziewięciu listach

IWANA TURGENIEWA

przełożył J. Pł......

„Entbehren sollst du, sollst entbehren."
Fausta część I.

(Ciąg dalszy).

LIST II.

(Paweł Aleksandrowicz B. do Szymona Mikołajewicza W.)

Wieś M.... 12. czerwca 1850.

Kochany przyjacielu! Mam ci ważną donieść wiadomość. Posłuchaj. Wczoraj po objedzie zebrała mnie ochota do przechadzki, lecz nie po ogrodzie. Poszedłem więc gościńcem wiodącym do miasta, lubię bowiem iść szybkim krokiem drogą ciągnącą się przedemną dalekiem pasmem. Zdaje mi się wówczas, jak gdybym miał gdzieś pilne interesa i musiał się spieszyć. Nagle spostrzegam jadącą naprzeciwko mnie jakąś kolasę. Spodziewam się, że nie do mnie, pomyślałem z tajemną trwogą. Lecz nie, w kolasie siedział jakiś nieznajomy mi wąsaty jegomość. To mnie uspokoiło. Lecz w tem nieznajomy podjechawszy bliżej, każe woźnicy stanąć, zdejmuje grzecznie czapkę z głowy i jeszcze grzeczniej pyta, czyli ma zaszczyt mówić z panem tym a tym. Ja zatrzymuję się także i odpowiadam z miną i uczuciem delikwenta, którego sędzia śledczy bierze w indagację: Do usług pana, jestem P. B.; wytrzeszczam przytem oczy na wąsatego jegomościa

z miną ile możności głupią i myślę sobie: tegom już gdzieś widział.

— Jakto, więc nie poznajecie mnie? — zawołał wąsacz wyskakując z kolasy.

— Ani trochę.

— A ja was odrazu poznałem.

Powoli wydało się, że był to Prijimkow — wiesz — nasz dawny kolega szkolny. Cóż to za tak nadzwyczajna wiadomość? pomyślisz zapewne w tej chwili. Prijimkow był dość nieznaczącą figurą. Prawda, mój drogi, ale posłuchaj dalej.

— Ucieszyłem się bardzo, dowiedziawszy się, że mieszkacie znów u siebie na wsi, jesteśmy bowiem najbliższymi sąsiadami. Zresztą nie tylko ja sam się cieszę z tego...

— Wolnoż mi was zapytać, kto jeszcze prócz was jest na mnie tak łaskaw?

— Moja żona.

— Żona wasza?

— Tak, moja żona, dawna wasza znajoma.

— Powiedzcież mi, proszę, jakie jest nazwisko małżonki waszej?

— Nazywa się Wiera Mikołajewna, z domu Elzow.

— Wiera Mikołajewna! — zawołałem mimowolnie.

I oto jest ważna wiadomość, o której wspomniałem na wstępie niniejszego listu. Nieznajdujesz w tem może nic tak bardzo godnego uwagi — ha, to ci opowiem jeden epizod z minionych, dawno już minionych lat mojego życia.

Gdym wraz z tobą w r. 1838 porzucił wszechnicę, miałem wówczas lat dwadzieścia i trzy. Tyś wstąpił w służbę państwową, ja postanowiłem udać się do Berlina. Ponieważ jednak przed październikiem nie miałem tam co robić, chciałem więc lato przepędzić w Rossji, na wsi, i po raz ostatni użyć roskoszy słodkiego próżniactwa, zanim się oddam cały poważnej pracy. O ile ten ostatni zamiar przyprowadziłem do skutku, to nas w tej chwili nic nie obchodzi. Ale gdzie lato przepędzić? pytałem sam siebie. Jechać do mojego majątku, nie miałem najmniejszej ochoty. Ojciec mój umarł był niedawno, bliskich krewnych nie miałem, lękałem się samotności, bałem się nudów. W takiej niepewności, z radością powitałem zaproszenie jednego z moich kuzynów do majątku jego, położonego w gubernji T..... Był to bogaty, prostoduszny, poczciwy człowiek, który żył w swojej majętności prawdziwie po wielkopańsku. Pojechałem więc do niego. Miał liczną rodzinę, dwóch synów i pięć córek, a oprócz tego gościnny jego dom zawsze przepełniony był obcymi. Nieustannie przybywali goście.... a mimo to nie bawiono się dobrze. Szumnie i hucznie upływał dzień za dniem, nie było sposobu być ani przez chwilę samemu. Wszystko działo się wspólnie. Każdy przemyśliwał nad nowym rodzajem rozrywki, a wieczorem wszyscy byli znużeni i znudzeni. Ten tryb życia był nieznośny, postanowiłem odjechać zaraz po imieninach mojego kuzyna. Lecz właśnie na tych imieninach poznałem Wierę Mikołajewnę Elzow..... i zostałem.

Miała wówczas lat szesnaście i mieszkała wraz z matką w małej wiosce, oddalonej o pięć wiorst od majątku mojego kuzyna. Ojciec jej, jak mówiono, miał być znakomitym człowiekiem. Uzyskawszy wcześnie stopień pułkownika, byłby był niezawodnie wyższych jeszcze dopiął godności, gdyby nie wypadek nieszczęsny, który w młodym wieku pozbawił go życia. Jeden z kolegów zastrzelił go przez nieostrożność na polowaniu. Wiera Mikołajewna była wówczas dzieckiem jeszcze. Matka jej była również istotą niezwykłą, bardzo wykształconą, oczytaną, mówiącą wieloma językami. Poszła za mąż z miłości, była jednak o siedm lub ośm lat starszą od swojego męża i dała mu się wykraść z domu rodzicielskiego. Straty jego nigdy nie mogła przeboleć i aż do samej śmierci — umarła, jak mi mówił Prijimkow, wkrótce po wydaniu córki — nosiła po nim grubą żałobę. Dotąd stoi mi przed oczyma jej twarz wyrazista a pełna ciężkiego smutku, okolona gęstemi siwiejącemi już włosami, z oczyma wielkiemi, surowemi i nieco przygasłemi, z nosem o prostych, delikatnych konturach. Ojciec jej z familji Ładanowów, przez lat piętnaście bawił we Włoszech. Matka Wiery Mikołajewny była córką prostej wiejskiej dziewczyny z Albano. W kilka dni po narodzeniu dziecięcia, padła nieszczęśliwa pod ciosem młodego Trastewereńczyka, byłego jej kochanka, któremu wydarł ją Ładanów. Zdarzenie to sprawiło swojego czasu wielkie wrażenie. Powróciwszy do Rossji, zamknął się Ładanow u siebie w domu, w swej pracowni, i nie opuścił jej nigdy już więcej; zajmował się chemją, anatomją, kabalistyką, szukał tajemniczego środka do przedłużenia życia ludzkiego, wierzył w obcowanie z duchami i wywoływanie umarłych.... a w oczach sąsiadów swoich uchodził za czarodzieja. Tkliwą miłością kochał swą córkę i sam udzielał jej nauk, lecz nigdy nie mógł jej tego przebaczyć, że się dała wykraść Elzowowi, i ani jej samej, ani jej męża do śmierci nie chciał widzieć na oczy. Przepowiadał obojgu życie pełne nieszczęść i umarł w zupełnem osamotnieniu. Po stracie męża, poświęciła pani Elzow siebie całą i całe swe życie wychowaniu córki i nikogo prawie u siebie nie przyjmowała. Gdym po raz pierwszy poznał Wierę Mikołajewnę, nie była jeszcze nigdy w żadnem mieście, ani nawet w sąsiedniem powiatowem miasteczku.

Wiera Mikołajewna w niczem nie była podobną do innych młodych dam rossyjskich, posiadała zupełnie odrębny, oryginalny swój charakter. Zaraz na pierwszy rzut oka zdumiał mnie dziwny spokój w jej ruchach i w mowie. Zdawała się o nic nie troszczyć, niczem nie wzruszać, odpowiadała na zapytania z wielką prostotą i roztropnością, lub przysłuchiwała się uważnie innym. Wyraz jej twarzy był czysty i szczery, jak u dziecka, nieco zimny i jednostajny, a jednak nie poważny. Rzadko kiedy okazywała wesołość, i to w zupełnie odrębny sposób niż inne dziewczęta; ale całą jej istotę opromieniał jasny spokój niewinności, stokroć milszy od wesołości... Była średniego wzrostu, delikatnej i kształtnej budowy ciała, rysy twarzy miała drobne i regularne, piękne i otwarte czoło, złote blond włosy, nosek prosty jak jej matka, dość pełne usta, oczy ciemne, siwe, które aż nadto prawie stanowcze i śmiałe rzucały spojrzenia i gęste, odchylone nieco rzęsy. Ręce miała małe, ale nie piękne—żadna kobieta wyższych zdolności takich rąk by nie posiadała—i w istocie nie odznaczała się Wiera Mikołajewna żadną wyższego rzędu zdolnością. Głosik jej był dziecinny. Na imieninach mojego kuzyna zostałem przedstawiony jej matce a w kilka dni później złożyłem pierwszą wizytę.

Pani Elzow, jak powiedziałem, była kobietą niezwykłą, dziwnie odrębnego od innych usposobienia, silnego charakteru, silnej woli i zamkniętą w sobie. Obecność jej przejmowała mnie szacunkiem a nawet pewną trwogą. Całe jej postępowanie oparte było na stałych, niodmiennych zasadach, w nich też wychowywała córkę, nie ścieśniając jednak w niczem osobistej wolności młodego dziewczęcia. Córka kochała ją i ślepo ufała matce. Gdy matka dała jej jaką książkę, z przestrogą, by tej a tej kartki nie czytała, wolała raczej przerzucić poprzedzającą, niżeli choć j e d n o spojrzenie rzucić na zakazaną. Zresztą posiadała także pani Elzow, jak powiadają Francuzi, swoje idées fixes, swoje straszydła. I tak naprzykład śmiertelną trwogą przejmowało ją wszystko to, co mogło wyobraźnię podnieść i wzburzyć; wskutek tego córka jej mając lat szesnaście nie czytała jeszcze ani jednego romansu, ani jednej poezji. Natomiast wiadomościami swojemi z dziedziny historji, geografji i nauk przyrodniczych, była wstanie zapędzić w kąt mnie samego, który, jak wiesz, nie należę przecie do nieuków. Pewnego dnia rozmawiając z panią Elzow, udało mi się skierować rozmowę na jej zasady wychowania, co przy jej usposobieniu zamkniętem w sobie i niechętnie się drugim udzielającem, wcale nie łatwą było rzeczą. Słuchając mnie, potrząsała tylko głową od czasu do czasu.

— Więc pan uważasz — rzekła w końcu — czytanie poetów za przyjemne i pożyteczne zajęcie. Ja sądzę, że należy się w życiu raz zdecydować albo na to, co przyjemne, albo też na to, co pożyteczne, i trwać silnie przy raz uczynionym wyborze. I ja probowałam niegdyś, połączyć jedno z drugiem... ale to jest niemożliwem... wiedzie nas do zguby lub do niesławy.

Zaiste, dziwna to była kobieta, zacna i dumna, ale nie bez fanatyzmu i przesądów.—Lękam się życia, rzekła razu pewnego do mnie, i tak było w istocie — lękała go się; obawiała się owych tajemniczych potęg, które czasem nagle wybuchają. Biada temu, na którego głowę grom ich spadnie! Czyż nie doznała biedna pani Elzow z ich przyczyny tylu srogich nieszczęść? Śmierć matki, śmierć męża, śmierć ojca, cóż to za złowrogi szereg okropnych zdarzeń! Na licach tej kobiety nigdy nie widziałem uśmiechu, o niej to można było powiedzieć, że zamknęła swe serce na klucz, a klucz wrzuciła do wody. Z pewnością nigdy przed nikim nie wyjawiła swych cierpień; wszystko zamykała w sobie i do tego stopnia przywykła tłumić każde swe uczucie, że wystrzegała się nawet wszelkich objawów tkliwości względem własnej tak gorąco ukochanej córki. Nigdy w naszej obecności nie pocałowała jej, nigdy nie nazwała jej pieszczotliwem mianem, zawsze tylko: Wiera. Raz, pomnę, rzekłem do niej, że my wszyscy ludzie nowożytni jesteśmy trochę kruchymi.— Być kruchym — odparła — to niedorzeczność; trzeba albo się skruszyć zupełnie, albo pozostać całym i nienaruszonym.

Mało kto kiedy odwiedzał p. Elzow, ja jednak często u niej bywałem, spostrzegłem bowiem, że mi była radą, a Wiera Mikołajewna bardzo mi się podobała. Rozprawialiśmy ze sobą i razem chodziliśmy na przechadzkę, w czem obecność matki bynajmniej nam nie przeszkadzała. Wiera niechętnie rozłączała się z matką a ja nie miałem żadnego powodu, życzyć sobie tego, aby być z nią sam na sam. Ta szczera istota miała dziwny zwyczaj myślenia głośno i w nocy nawet przez sen nieraz mówiła o tem, co ją przez dzień zajmowało. Razu pewnego, patrząc mi bystro w oczy i podparłszy główkę rączką we-

dług swego zwyczaju, rzekła: zdaje mi się, że pan B. to człowiek dobry i poczciwy, ale nie można się spuścić na niego. Stosunek nasz był przyjacielski szczery i niewymuszony. Raz jeden tylko, zdawało mi się, żem dostrzegł na najgłębszem dnie jej jasnych, przejrzystych oczu, wyraz dziwnie tkliwy!—być może jednak żem się omylił.

Tymczasem upływały tygodnie i miesiące. Czas już był myśleć o wyjeździe, a ja wahałem się nieustannie co mam począć. Przerażała mnie ta myśl, że mam porzucić tę lubą istotę, a Berlin stracił dla mnie cały swój powab. Nie śmiałem wyznać sam przed sobą tego, co się we mnie działo, sam siebie nie rozumiałem, zdawało mi się, jakoby mgła jakaś osiadła na duszy mojej. Wreszcie jednego poranku rozjaśniło się we mnie wszystko... Pocóż nam dłużej szukać? zapytałem sam siebie. Za czemże gonić mam dalej? Znaleźć cel prawdziwy to tak trudno... możeby lepiej było zostać i ożenić się. Tak mnie nic nie przerażała wówczas myśl o małżeństwie—przeciwnie, snułem ją dalej z roskoszą. Tego samego dnia odkryłem uczucia moje, nie Wierze Mikołajewnie, jakbyś się może spodziewał, lecz matce jej, pani Elzow. Staruszka spojrzała na mnie.

— Nie, mój drogi, rzekła, jedź lepiej do Berlina. Jesteś dobrym człowiekiem ale nie jesteś mężem, jakiego potrzeba dla mojej Wiery.

Zarumieniłem się i spuściłem oczy, i — co cię pewnie zadziwi — w głębi mojego serca przyznałem pani Elzow słuszność. Następnego tygodnia odjechałem i nigdy odtąd nie widziałem ani Wiery Mikołajewny, ani jej matki.

I oto masz krótki opis mojej przygody, wiem bowiem, że rozwlekłości nie lubisz. W Berlinie Wiera Mikołajewna zniknęła mi nawet z pamięci — mimo to, wyznam ci, że ta nagła wiadomość o niej wywołała we mnie pewne wzruszenie. Wiedzieć, że się znajduje tuż blisko w mojem sąsiedztwie, że ją za dni kilka zobaczę — to wszystko spadło na mnie tak niespodzianie... przeszłość stanęła nagle przedemną jakby z pod ziemi i wstrząsnęła mną potężnie. Prijimków nadmienił przy naszem spotkaniu, że przybył, ażeby odnowić znajomość ze mną, i że się spodziewa, ujrzeć mnie wkrótce u siebie. Opowiedział mi, że służył dawniej przy kawalerji, następnie wystąpił ze służby w charakterze porucznika; kupił majątek odległy o ośm wiorst od mojego. Jego zamiarem jest poświęcić się gospodarstwu. Z trojga dzieci, dwoje umarło, została mu tylko pięcioletnia dziewczynka.

— A żona wasza przypomina mnie sobie czasem?—zapytałem go.

— Owszem, wspomina was,—odparł z lekkiem wahaniem.—Była wprawdzie jeszcze bardzo młodziutką, gdyście ją znali, ale jej matka zawsze pochwalnie wyrażała się o was, a wiecie, jak drogiem dla niej było każde słowo nieboszczki. W tej chwili wpadły mi na myśl słowa pani Elzow: nie ty jesteś mężem, jakiego potrzeba dla mojej Wiery: i spojrzawszy z ukosa na Prijimkowa pomyślałem: aha! więc to ty jesteś tym mężem, jakiego jej potrzeba! Zabawił u mnie przez kilka godzin i przekonałem się, że jest to przyjemny człowiek; mówi zawsze skromnie, wygląda tak dobrodusznie, że go trzeba koniecznie lubić. Co się tyczy jego zdolności umysłowych, to od czasu naszej dawniejszej znajomości, w niczem nie postąpiły. Na wszelki wypadek odwiedzę go — może już nawet jutro. Ciekawy jestem bardzo, co się stało z Wiery Mikołajewny.

Ty zbrodniarzu, przy twojem biórze dyrekcyjnem, drwisz sobie ze mnie zapewne, mimo to jednak doniosę ci, jakie na mnie sprawi wrażenie. Bywaj zdrów aż do przyszłego listu. Twój

P. B.

(C. d. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Niemniejszy ruch panował na oceanie arktycznym pomiędzy Spitzbergen i Nową Ziemią i w r. 1871. Oprócz kapitanów norweskich: Tobiesena, Torkildsena, Ulve, Macka, Carlsena, który jak rok przedtem Johannesen opłynął Nową ziemię, tylko w przeciwnym kierunku*) i ekspedycji Rosenthala i Heugelina do Nowej Ziemi, która wzbogaciła wielce wiadomości o tej wyspie pod względem topograficznym i przyrodniczym — wystąpiło do współzawodnictwa na tem polu nowe mocarstwo, którego imię w historji podróży i odkryć w świecie arktycznym nigdy dotąd zapisanem nie było. Tem mocarstwem była monarchja austrjacko-węgierska, a jej reprezentantami oficerowie Payer i Weyprecht.

Juliusz Payer, nadporucznik 36 pułku piechoty austrjackiej, urodzony w r. 1842 w Cieplicach w Czechach, znany był już dawniej towarzystwom alpejskim ze swoich śmiałych wycieczek naukowych w wysokie Alpy i z podejmowanych prac geodetycznych, ale w szerszych kołach rozgłosiła jego imię dopiero druga wyprawa niemiecka do wschodnich wybrzeży Grenlandji. Oceniając trafnie zdolności jego i nabyte w podróżach po lodowcach alpejskich doświadczenie, pozyskał dr. Petermann Payera dla wyprawy Germanji. Payer nie zawiódł nadziei, jakie w nim położył zasłużony organizator niemieckich wypraw arktycznych. Trzeba bowiem przyznać, że właśnie najpiękniejsze i najchlubniejsze karty w historji swojej podróży zawdzięcza Germanja, jeżeli nie wyłącznie, to przynajmniej głównie Payerowi. Wyszedłszy tak z tryumfem zaraz z pierwszej próby na tem nowem dla siebie polu, powziął ten śmiały oficer myśl nowej podróży arktycznej i pozyskał dla swojego planu jednego z najzdolniejszych oficerów austrjackiej marynarki, Karola Weyprechta. Obaj zgodzili się obrać drogę polecaną przez dr. Petermanna i otrzymawszy poparcie samego cesarza, zebrali w nadspodziewanie krótkim czasie, po największej części w Austrji, potrzebne na swoją ekspedycję pieniądze.

Dnia 21. czerwca 1871 wypłynęła z portu Tromsö na statku *Isbiörnen* pierwsza austrjacka wyprawa na ocean arktyczny. Payer i Weyprecht mieli przedewszystkiem zamiar zbadać dokładnie położenie owego kraju Gillisa, do którego, pomimo jego oddalenia wszystkiego o kilka dni drogi od wybrzeży północnej Europy, dotąd jeszcze żaden podróżnik dotrzeć był nie zdołał. Ale jak niegdyś Koldewey, tak teraz podróżnicy austrjaccy pokuszali się daremnie o poznanie tego lądu zagadkowego, który już od przeszło 160 lat błąkał się po kartach arktycznych, urągając wszelkim usiłowaniom ostatecznego roz poznania jego wybrzeży. Nie dopiąwszy głównego celu posunęła się ekspedycja austrjacka na północ aż po 79 równoleżnik, tj. o 150 mil morskich dalej, niż ktorykolwiek okręt w tej stronie*). Znalazłszy pod tak znaczną szerokością geograficzną prawie zupełnie odkryte morze, powrócili Payer i Weyprecht szczęśliwie do domu i niezwłocznie zajęli się wypracowaniem planu i zebraniem środków na nową, na większe rozmiary obmyślaną wyprawą arktyczną.

* * *

Tymczasem stanął był nakoniec i Hall u kresu swych życzeń. Pracując niezmordowanie od powrotu z ostatniej swojej podróży w r. 1869 nad zrealizowaniem nowej, wielkiej wyprawy do bieguna północnego, pozyskał on publicznymi wykładami licznych zwolenników dla swojego planu, zapewnił sobie poparcie osób wpływowych, a wreszcie otrzymał znaczną sumę od rządu i statek parowy do dyspozycji. Parowiec ten, ochrzczony *Polaris*, wzmocnił Hall jak można najlepiej, aby mógł wytrzymać niebezpieczne zapasy z lodami, zaopatrzył go troskliwie w żywność na lat pięć, w obrobiony już materjał na pokrycie dachem w czasie zimy, w drzewo na budowę sani, w wyborne czółna i urządził ogniska pod kotłami w ten sposób, żeby je w razie potrzeby i tranem opalać. Nie będąc marynarzem, powierzył kierownictwo statku kapitanowi Buddington, z którym odbył był pierwszą podróż swoją dla badań naukowych, pozyskał Dr. Besselsa, który już w r. 1859 zwiedzał ocean arktyczny na parowcu Albert, i zabrawszy ze sobą swoich doświadczonych Eskimosów, Ebierbinga i Tukulitu, odpłynął d. 10. czerwca 1871 z Waszyngtonu do Grenlandji.

Otrzymawszy w Godhaven resztę zapasów, które mu korweta Congress dowiozła, zawinął Hall d. 19. sierpnia do Upernavik, gdzie zabrał jeszcze parę Eskimosów z trojgiem dzieci (Eskimosi bowiem wojażują zawsze z całą rodziną) Jana Chrystjana i żonę jego Merkut, którzy towarzyszyli już Kanemu i Hayesowi w ich podróżach, i nabywszy z wielką trudnością, 60 psów pociągowych, które wówczas tak były drogie, że lepsze po 100 dolarów płacić musiał, udał się w dalszą drogę. W dziesięć dni potem opłynęła Polaris przylądek Lieber, ów punkt najdalszy, do którego Hayes w r. 1861 saniami dotarł, i wkroczyła w granice nieznanego dotąd świata zalewem, który Hall kanałem Robeson nazwał. W tej bezprzykładnie szczęśliwej i szybkiej żegludze po morzach, które dotąd były zawsze dla statków niedostępne, wstrzymały Halla dopiero dnia 3. września ruchome kry pod 82^0 10' płn. szer., tj. pod tak wysoką szerokością geogr., do jakiej przed nim żaden statek nie dotarł. Rozwiązał więc tak Hall stanowczo kwestę morza polarnego i przekonał się, że owe morze dra Kane i Hayesa jest tylko około 15 mil szerokim, a do 45 mil angielskich długim kanałem. Za tym kanałem ciągnął się ku północy smug wody, a dalej rozpościerał się znowu szerszy zalew, morzem Lincolna nazwany, a zamknięty od zachodniej strony, jak daleko wzrok sięgał lądem, któremu Hall nazwisko Granta nadał. Na wschodzie wynurzały się także jakieś strome przylądki, ale całej rzeźby wybrzeży poznać nie było można. Z kosza na maszcie dopatrywano i w stronie

*) *Globus* XX. 331.

*) Dr. A. Petermanna *Mittheilungen* 1871 str. 344, 423, 457; 1872 str. 69.

północnej wybrzeży jakiegoś lądu, ale Hall nie mógł sprawdzić niewątpliwie ich istnienia, gdyż ławice lodowe nie do przebycia zatarasowały jego parowcowi dalszą drogę*). Widział się więc zmuszonym nawrócić ku południowi, aby sobie wyszukać stosowną do zimowania przystań. Gdy mu się port Repulse z powodu silnego przypływu i odpływu morza nie dosyć bezpiecznym zdawał, pomknął się znowu cokolwiek na północ, ale powtórnie przez lody ku południowi odparty, znalazł nakoniec w porcie Thank-God po 81° 38' szer. odpowiednie na zimę schronienie. Ztąd wybrał on się zaraz 10. paźdz. saniami na północ i odkrył głęboką zatokę Newman. W czternaście dni potem, powróciwszy na statek, zachorował nagle i umarł. Dwa dni potrzebowali jego towarzysze, ażeby wykopać półtora metra głęboki grób, w którym złożyli jego zwłoki pod kupą głazów. W chwili kiedy właśnie sądził, że jest najbliższym celu, zabrała śmierć tego zapamiętałego podróżnika. — Poległ jak żołnierz na polu bitwy, na polu swojej sławy i zasługi, a samotna jego mogiła w głuchej pustyni lodowej jest ze wszystkich znanych najwyżej na północy położonym grobem.

Po śmierci Halla objął naczelne kierownictwo kap. Buddington, chociaż zbytnie, nawet na marynarza, zamiłowanie spirytuozów, skutkiem którego zapasy alkoholu dra Besselsa nadzwyczajnie prędko się zmniejszały, bynajmniej go na tak trudne stanowisko nie zalecało. Buddington zwichnął też całą wyprawę i zmarnował owoce tyloletnich zabiegów Halla.

Z końcem listopada zniosła gwałtowna burza lody i zatarasowała krami całą zatokę. Parowiec wyparty w górę, przewrócony został na jeden bok i pozostał w tem przykrem położeniu przez całą zimę. Pomimo tego jednakże przetrwali wszyscy szczęśliwie 135-dniową noc. Tylko psy ucierpiały wiele i 25 z nich zginęło na kurcze. Już ku końcowi marca 1872 r. wybrał się dr. Bessels saniami na południe dla poznania wybrzeży Grenlandji pomiędzy zimowym portem Polaris, a przylądkiem Constitution dra Kane. W czerwcu nakłoniono z trudnością kap. Buddingtona do wyekwipowania dwóch łodzi do wyprawy na północ. Gdy jedną z tych łodzi rozbiły lody, zastąpiono ją inną, i kapitanowie Tyson i Chester popłynęli niemi do zatoki Newman, aby tam wyczekiwać stosownej pory do dalszej podróży ku biegunowi. Tymczasem Buddington przysłał im przez jednego z Eskimosów rozkaz powrotu, chociaż Polaris jeszcze ciągle zamknięta była lodami i nie mogła ruszyć się z miejsca Tyson powrócił zaraz, Chester zaś pozostał jeszcze czternaście dni na miejscu, ale nie mogąc się doczekać rozstąpienia lodów, opuścił w końcu także swoje stanowisko. W wycieczkach tych, którym sprzyjała pogoda i nadspodziewanie łagodna temperatura, spotykano często woły piżmowe i zające polarne, białe niedźwiedzie, niebieskie lisy i wilki, widziano mnóstwo wodnego ptactwa i ubito wiele fok. Przekonano się też niewątpliwie, że Eskimosi zamieszkiwali niegdyś te okolice, gdyż znajdywano po wybrzeżach kawałki drzewa od sań, kościane trzonki i kamienne fundamenta letnich jurt.

Dopiero w sierpniu wyswobodziła się Polaris z lodów i puściła się otwartemi kanałami na południe. Ale wkrótce ścisnęły ją znowu ruchome kry, które ją porwały i unosiły aż do 15. paźdz. Tego dnia zerwała się gwałtowna burza z południowego wschodu i statek z okropnym trzaskiem przeważony został powtórnie na krawędź lodowego pola. W powszechnej obawie rozbicia stracił Buddington zupełnie głowę i najniedorzeczniejsze wydawał rozkazy. Rzucono się bezładnie do przenoszenia żywności na lód, ale kiedy już część była zniesioną, oderwała się nagle z ogłuszającym hukiem ta część kry, na której leżał statek i wiatr popędził ją ku północy. Wkrótce zniknęła Polaris w ciemnościach z oczu ludzi, którzy się znajdowali na drugiej połowie kry. Położenie ich było fatalne; pocieszali się jednak jeszcze nadzieją, że może nazajutrz wiatr przychylny przypędzi napowrót ku nim uniesiony statek z czternastu pozostałymi na nim towarzyszami. Otuleni skórami przepędzili całą noc w dręczącem oczekiwaniu. O wschodzie słońca, gdy statek się nie pojawiał, a wiatr dął z południa, chcieli wydostać się na ląd i spakowawszy wszystkie rzeczy na czółno, poczęli je ciągnąć po lodach. W tem pokazała się Polaris na widnokręgu, znowu wyswobodzona z lodów i pędząca z całą siłą pary ku południowi. Nadzieja wstąpiła w ich serca, byli bowiem tem pewniejsi ocalenia, gdyż odległość nie była tak wielką, żeby towarzysze ich ze statku nie mogli ich spostrzedz. Ale Polaris pomykała coraz dalej i widocznie ich pomijała. Prawdopodobnie zatory lodowe nie dozwoliły Buddingtonowi zbliżyć się do opuszczonych towarzyszów, tem bardziej że Polaris była mocno uszkodzona i nie można było narażać się z nią na żadne niebezpieczeństwo. W miarę jak się oddalał statek, nikła nadzieja ratunku, aż wreszcie ujrzeli się sami pośród lodów i burzliwego morza, zdani na wolę wiatrów i prądów morskich.

Począł się więc teraz u zachodnich wybrzeży Grenlandji odgrywać równie straszny dramat, jaki przed dwoma laty odgrywał się po wschodniej jej stronie. Owszem straszniejszy jeszcze o tyle, że rozbitki Hansy przewidując swój los, przygotowali się nań jak można było najlepiej; tam więc katastrofa była przewidzianą, tu zaskoczyła ludzi zupełnie nieprzygotowanych. A było tych nieszczęśliwych dziewiętnaście: oprócz Amerykanów czworo Eskimosów z czworgiem dzieci, z których ostatnie powiła była Merkut dopiero przed dwoma miesiącami.

Wszelkie usiłowania przebicia się do lądu spełzły na niczem. Na drugi dzień zaraz rozbiła się ich kra i pozostali tylko na małym jej odłamku z częścią zapasów, z dwoma łodziami i jednym namiotem z żaglowego płótna. Wiatr północny pędził ich szybko ku południowi i po kilku dniach zetknęli się znowu z tem polem lodowem, od którego zostali oderwani, i tak odzyskali utraconą część zapasów. Mieli oni teraz 11 worków sucharów, 14 beczułek pemikanu, a 120 suszonego mięsa i kilka szynek, co mogło wystarczyć na jeden miesiąc. Oprócz kilku skór niedźwiedzich nie posiadali żadnych futer, ale na szczęście mieli broń i podostatek amunicji. Straciwszy nadzieję wylądowania, zbudowali sobie za pomocą doświadczonych, w tego rodzaju budownictwie Eskimosów dwie budy ze śniegu i trzecią osobną na skład żywności, którą postanowili rozdzielać tak małemi porcjami, żeby im na pięć miesięcy wystać mogła. Gdy im się zdarzyło ubić fokę, zjadali ją szczętem, pozostawiając tylko skórę i nagie kości. Ale w listopadzie, grudniu i styczniu i o foki było trudno. Jedną łódź zrąbali na opał do topienia lodu i gotowania jedzenia, drugą mieli w pogotowiu na wypadek potrzeby. Tak przebyli długą noc zimową i doczekali się nowego roku.

Dnia 19 stycznia 1873 powróciło słońce i rozpoczęły się dni weselsze i szczęśliwsze. W lutym nastrzelali tyle gołębi, że każdy mógł codziennie po dwa dostawać. Dnia 2. marca, który w kalendarzu swoim czerwono podkreślili, ubili tak wielką fokę, że mięso jej wystarczyło im na dni dwanaście. Potem padł jeszcze jeden niedźwiedź. Ale te dni szczęścia i obfitości już w marcu się skończyły. Dnia 12 marca rozpasała się szalona burza z śnieżnicą. Dokoła trzeszczały i pękały z hukiem bijących dział lody. Całą noc trzymali się w gotowości do ratowania się na łódź. O świcie przełamała się ich kra ale na szczęście tak, że ich budy śniegowe nie uległy zniszczeniu, chociaż pozostało im zaledwie tyle miejsca, żeby je można obejść. W kilka dni potem zalały jednak fale morskie ich schronienie, tak że musieli przenieść żywność swoją do łodzi i szukać przytułku na innej krze. W początkach kwietnia srożyły się znowu burze, lód pękał, druzgotał się w kawałki i po całych dniach uciekali z jednej kry na drugą, okryci pianą morską, przemoknięci do nitki, wygłodzeni i ziębnięci. Fale przechodziły po wierzchu pól lodowych i pędziły kry, które mogły ich lada chwila przewalić. Całą noc trzymali linwami łódź, aby jej woda nie uniosła. Nakoniec wydostali się na suchy lód i czuli się tak szczęśliwymi, jak gdyby już uszli śmierci! Dnia 12 kwietnia ich zapasy żywności były do szczętu wyczerpane i myśleli już, że tylko nato uratowali się z tylu niebezpieczeństw, aby teraz umrzeć głodową śmiercią. Byli już zupełnie zwątpili, gdy w tem jeden z Eskimosów spostrzegł niedźwiedzia czatującego na foki. Nie przeczuwając zasadzki, zbliżył się zwierz na strzał i padł przeszyty dwoma kulami. Sprawili sobie tak świetną wieczerzę, jakiej od kilku tygodni już nie mieli. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Recenzja

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(*Historja powszechna konia przez hr. Marjana Czapskiego. Poznań. Nakład J. K. Żupańskiego, 1874. 8° tom I i II*)

Historja konia, nieodstępnego towarzysza człowieka, jest to, jak słusznie mówi autor niemal historja rozwoju ludzkości i cywilizacji. Od zamierzchłych pierwocin kolebki człowieka po dziś dzień jeszcze koń idzie z nim razem jako rumak rycerski, jako strażnik karawany, w bojowym wozie, w jukach, w pociągu... wszędzie... W dziejach też ten pomocnik i przyjaciel, często zbawca, występuje jako czynnik, którego siłom zawdzięcza ludzkość podwojenie swych własnych. Nie dziw, że umiłować mogły narody konia i szczególną przywiązywać wagę do hodowli jego i wychowania... Trwa ta miłość, posunięta częstokroć aż do szału, nawet w czasach dzisiejszych, gdy wszelkie miłości ustąpiły rachubie... Ani się dziwimy, że hr. Czapski, natchniony nią, przedsię wziął swą historję powszechną szlachetnego zwierzęcia, poświęcił jej długie lata, mnogie poszukiwania i postarał się o to, aby polska literatura miała w niej coś więcej niż inne europejskie. Pierwszy tom, wspaniale wydany, mamy właśnie przed sobą. Plan swej monografii zakreślił autor na bardzo obszerną skalę, objął nim

*) Petermann *Mittheilung* 1874 karta 13.

nie tylko historją powszechną konia, ale historję człowieka razem w jego do konia stosunku—rzeczywiście stworzył jedyne w swym rodzaju dzieło. W literaturze niemieckiej, która obfituje w podobne pojedyncze obrobienia różnych gałęzi historji kultury—nie ma (o ile wiemy) nic, coby się rozmiarami, erudycją, szerokim poglądem, wreszcie i artystyczna wartością stylu z pracą hr. Czapskiego porównać dało. Ostatnie z hippiką w związku będące dzieło niemieckie „Ross und Reiter, eine kulturhistorische Monographie“ przez Maxa Jähns (Lipsk, 2 tomy) ubogo wygląda przy naszem.

Nie mógł, zdaje się, autor sympatyczniejszego dla ogółu czytelników naszych wybrać przedmiotu do studjów nad konia;—w społeczeństwie polskiem, szczególniej szlacheckiem, przechowała się jeszcze tradycyjna miłość dla niego, którą Skarga i Birkowski wyrzucali rycerstwu swego czasu jako zbyteczną. Musi więc być ponętnem dla każdego poznać genealogję konia i jego dzieje, i przebiedz, jeżli się tak wyrazić godzi, na grzbiecie rumaka cały przestwór historji ludzkości aż po dni nasze, szczególniej z takim miłym towarzyszem i przewodnikiem jak hr. Czapski.

Koń, jak bardzo słusznie powiada autor—jest z materjału dostarczonego przez naturę—utworem człowieka. Protoplasta jego znika gdzieś w przeddziejowej epoce — nie ma go już w stanie dzikim,—jest tylko w zdziczałym — zwierzę to w najszlachetniejszem swem rozwinięciu musi być domownikiem rozumem obdarzonego człowieka. Koń każdego narodu i epoki jest płodem klimatu, życia, obyczaju, charakteru ich i warunków miejscowych.

Historja poczyna się od wieków geologicznych, od epoki przeddziejowej, której kronik szukać potrzeba w pokładach ziemi... Z wielką troskliwością opracowany jest ten okres pierwszy geologiczny... „Człowiek i koń (nie możemy się powstrzymać, abyśmy nie dali małej próbki)—ukazawszy się prawie współcześnie na ziemi, jakby dla siebie wzajem stworzone istoty, spotkały się w ciemnych przedświata wiekach bez nieufności i zbratały się zaraz od pierwszej chwili istnienia swego w celach przebiegania razem dziejowej swych rodów kolei. Konieczne prawa postępu i rozwoju przemieniły dwurękiego stworzenia potomków w głęboko myślącego, wielostronnie wykształconego i cywilizowanego człowieka naszych czasów. Zażyłość zaś dwóch współcześnie powstałych popliocenowej epoki stworzeń, pierwszego dwurękiego z pierwszym jednopalcowym, wykształciła z czasem potomków tego ostatniego na wysoce pojętne, wytrwałe i szlachetne konie. W nieustannej walce o istnienie, w ciągłych wysileniach o postąpienie naprzód w kulturze, część rodu ludzkiego wybrała sobie jeden w królestwie zwierzęcem rówieśników gatunek i wykształciła go na pomocnika nie dającego jej uledz w ciężkich przełomach własnego przeobrażenia. Część rodu końskiego, poddawszy się domownictwu człowieka, przyjęła odrębny gatunek wykształcenia swojego i nowym stała się jednokopytowych zwierząt gatunkiem. Tysiące lat opieki człowieka wypielęgnowały liczne rasy szlachetnego konia domowego“.

Bardzo wyczerpująco i ze znajomością pomocniczą nauk przyrodniczych hr. Czapski daje obraz tej epoki a zarazem ukształtowania się konia. Szczególniej umiejętnie napisany jest ważny ustęp o budowie zębów konia, oparty na znajomości anatomji i fizjologji ogólnej wedle ostatnich badań na tem polu.

Od tego okresu przechodzimy do czasów przedchrześcijańskich, poczynając od pierwszych wzmianek o koniu w najdawniejszych zabytkach i śladów, jakie pozostały w pismach i pomnikach u Chińczyków, Egipcjan, Semitów, Indjan i t. p. Nadzwyczaj bogatego używszy materjału do swej historji konia hr. Czapski, zdaje nam się wszakże, iż jeden ważny bardzo, mogący pewne światło rzucić na dzieje—pominął fakt, lub go na późniejsze odłożył rozdziały. Nie znajdujemy tu spożytkowanych studjów lingwistycznych, nie mamy etymologji najstarszej nazwisk konia w językach pierwotnych i rozrośnięciu się ich na gałęzie pochodne.

Niezaprzeczenie zajmującym byłoby poznać stosunek nazw konia w sanskrycie starym, w języku Zend - Awesty, w językach od nich pochodzących, we wschodnich, w hebrajskim, w starożytnych a nakoniec w mowach plemion, które jedne po drugich wędrowały z kolebki do Europy. Dałoby to nam może wskazówki czasu i kolei wędrówek konia i człowieka. Autor sam uznaje wielką korzyść, jaką historja z badań językowych odniosła, mówiąc o tem w początku rozdziału drugiego. — „Najnowsze lingwistyczne poszukiwania wszelką usunęły wątpliwość co do zawartych w Zend-Awesta podań i potwierdziły ich prawdziwość.—Bliższe zaznajomienie się z księgami temi rozszerzyło znacznie horyzont wiedzy człowieka o pierwszych rodu ludzkiego dziełach itd. Byłoby pożądanem, ażeby dając nam tak pełną i bogatą monografję, tak wszechstronne studjum przyłączył do niej autor choćby dodatkowo pogląd na etymologję głównej nazwy konia w różnych językach.

Szczegółowo bardzo opowiedzianą jest historja konia w Grecji, w mitologji Hellady, u Hebrajczyków, Asyryjczyków (do czego nowo odkryte pomniki wielce się przysłużyły), nareszcie w Rzymie (pierwsze czasy), w Persji, u Gallów. W tych dwóch pierwszych rozdziałach (które same półtorasta stronnic zajmują) zebrano wszystkie starożytne o koniu wiadomości rozpierzchłe, jakie się równie obficie nigdzie razem skupione i tak żywo przedstawione nie znajdują. Wszystko co z koniem ma związek, wóz, uprzęże, idzie z nim razem, widzimy rozwijanie się przemysłu człowieka udoskonalającego wiekami najmniejszy szczegół, którym się posługuje.

Trzeci rozdział zawiera pierwszych pięć wieków po Chrystusie, w ciągu których jeszcze historja cywilizacji zogniskowuje się przeważnie około Rzymu i w Rzymie. Mamy tu konia za cesarstwa, poczty rzymskie, igrzyska (o jakich wyżej mowa była), wozy, zabawy, hodowlę koni i t. d. Wszystek materjał, jaki do tego przedmiotu posiadają literatury europejskie, został tu przedziwnie zużytkowany i wcielony w bardzo potoczyste, miłe obrazowe opowiadanie. Idzie dalej koń wschodni (VI—VIII wiek), koń Arabów, Persów, wreszcie Turkomanów, Czerkiesów, Egiptu (dzisiejszego) i abisyński. Pomimo wielkiej swej erudycji nigdzie autor w suchość i pedanterję nie wpada; żywioł poetyczny staje jako równouprawniony. Legendy, pomniki, opisy podróży przychodzą w pomoc materjałowi naukowemu i wypełniają go. Wszystko to łączy się organicznie w piękną i zdrową całość, popularnie a pomimo to umiejętnie pojętą. Znać w tem wykształconego człowieka, któremu nauka życia nie odjęła, który ją sobie przyswoił, przetrawił i samoistnie się nią posługuje.

W IX, X, XI, występuje koń armorykański w Europie (upraszamy zecera, aby z niego amerykańskiego nie zrobił!) i wszystkie jego odmiany, rozmaitą hodowlą i warunkami życia i użycia wyrobione—konie francuskie, angielskie, duńskie, holsztyńskie, meklemburgskie, fryzy, konie północy itp. Osobny rozdział poświęcony jest koniowi krucjat i hiszpańskiemu. Tu kreśli autor obraz rycerswa, turniejów, sądów miłości i średniowiecznego obyczaju. „Człowiek rycerski — pisze — ciągle był na koniu, ciągle w zbroi, ciągle w ćwiczeniach albo zapasach wojennych. I tak jak w zeszłych wiekach fanatyzm namiętny islamizmu wypielęgnował sobie konia stosownego do awanturniczych antrepryz Araba, tak feodalność i rycerstwo wyhodowało sobie stosownego rumaka do wymagań rycerskiego ceremoniału, do ciężaru stalowej zbroi i do niezłomności ściśnionego szyku rycerstwa. Koń staje się duszą zbrojnego męża. Rycerz spieszony jest bezbronnym. Trzech rzeczy prawo u rycerza imać za długi nie dozwalało—jego konia, miecza i lutni.“

W rozdziale siódmym występują konie mongolskie (XIV. XV. w.) Chiny, Kochinchina Indja, Turcja, naostatek w ósmym zamykającym część pierwszą dzieła jest koń włoski, amerykański, austrjacki, węgierski, bawarski i niemiecki w ogólności. — Przychodzimy tu właśnie do tego okresu, w którym występuje koń polski, ze szczególną troskliwością i wielkiem zasobem wiadomości, stanowiącym niemal osobne dzieło—obrobiony. Historycy, poeci, legendy, dzieła dawne o Hippice w sposób wyczerpujący zużytkowane tu zostały. Tom więc drugi żywiej jeszcze zajmuje czytelników, przypominając im nasze własne drogie dzieje.

Materjał to nader obfity do rozpisania się nie tylko o koniu ale o obyczaju polskim i życiu w przeszłości. Autor z przysłów, z poetów, z ksiąg najróżniejszych, z historji czerpie, co tylko się do konia odnosi, i wyczerpał, można powiedzieć, co tylko było dostępnem, a że wszystko to studjował i w innych krajach ogólnie, rozpoznaje łatwo, co nam właściwem było a co i zkąd zapożyczonem. Rozpocząwszy od wykładu znaczenia konia polskiego w świecie i narodzie, w pierwotnej Słowiańszczyźnie, w klechdach, w dziejach bajecznych, w gospodarstwie naostatek krajowem Polski i Litwy przechodzi do języka hipicznego.

Ciekawy to rozdział, bo się z góry spodziewać możemy wielkiej obfitości nazwań i w istocie nomenklatura bardzo urozmaicona.

Wszystkie konie Pan Bóg siercią odział
Wżdy przecie w ich rodzajach chciał uczynić podział,
Inszy Fryz, inszy Zmudzin, insze są Szewluchy
Przyrodne do orczyka, chomonta i duhy,
Inszy wałach podolski, inszy napoboczy
Sękiel, inszy, co kłusem a co chodzi z kroczy.

Co do nazwisk jednak moglibyśmy się posprzeczać trochę. Kłusiem, kłósiem, kłysiem, a nawet klusięciem i klusiętami zwano źrebięta. Okazuje się to z broszur XVII wieku najdowodniej; autor widzi w tem ciężkie a nikczemne szkapska. Stryhuńców, których zna tylko autor na Rusi, my w Polsce słyszeliśmy nieraz nazywanych tak samo Strzyżakami, bo im też i tu grzywę w szczotkę a ogony w schodki postrzygano, — ale to są drobnostki.

Opowiada nam dalej autor o nazwach koni

stosownie do ich ojczyzny, o drogach, któremi do Polski przychodziły, o polskiej rasie koni, o hodowli i związanych z nią gusłach i przesądach, gdzie całą obszernie teorję tradycyjną wykłada. Ustęp ten opracowany ze szczególnem zamiłowaniem i znajomością sprawy końskiej zajmie pewnie licznych u nas jeszcze miłośników stad i hodowli.

Ale czegoż tu dalej nie ma!—więc polska jazda, roztrucharstwo i cyganienie końmi (od żłobu do żłobu), narowy koni, ceny, dwory i stajnie itp. koń w obyczajach narodu. Wchodzimy tu na historyczne pole. Składały się na tę część kroniki i długie studja, jakich przedmiot wymagał. Mnóstwo szczegółów, które się nowemi wydadzą, boć zapomnieliśmy dawno, że starzy mawiali naprzykład o dziewczętach.

Milej patrzeć gdy dziewka na koniu harcuje
Niż kiedy gonionego z goleńcem tańcuje.

Rzadkie bywały jednak przykłady jazdy końskiej u kobiet naszych, a o Russanowskiej ze zgrozą wspominają kroniki, ze po męzku dosiadała konia. Przykłady siły ludzi i koni, które już zebrali Rzączyński i inni, są tu pomnożone jeszcze i liczne.—Obfitość przykładów przywodzonych zdumiewa jako dowód pracy ogromnej.

Nic też baczności autora nie uszło, który szperał długie lata... można powiedzieć, wszędzie i najmniejszym szczątkiem nie gardził. — Cały zeszyt trzeci składa się z takiej szacownej mozaiki. Koń na poselstwach, na uroczystościach, turniejach, łowach, wojnie, koń oprawcą, koń woźnik, naostatek koń dziki... wyczerpują przedmiot do dna. W rzeczy o turniejach ciekawą dodaćby można wzmiankę, iż w starych niemieckich Turnierbuchach i rejestrach osób, które do nich należały na cesarskim dworze, znajdujemy wzmianki o polskich książętach w bardzo dawnych czasach.

Na turnieju niemieckim za cesarza Henryka w Magdeburgu odprawionym, znajdujemy wymienionych w r. 938:

Messiko (Mieszko), książę polski we 32 hełmy. Oprócz tego uczestniczyli w turnieju: Mścibój, książe Wendów w 39 hełmów, Brzetysław, pomorski i wendyjski we 20, Nestrico, książę szląski, Wratysław czeski, Bolesław morawski, Wisław milżyński itp.

We środę przed objadem, w drugich gonitwach, Mieszko razem z synem cesarskim Ottonem i wielu innymi występował we 42 hełmy. Nie miejsce tu jednak obszerniej się o nim rozpisywać.

Dzieła hr. Czapskiego mamy oto skończony tom drugi, a spodziewamy się, że wydawca zbyt nam długo nie każe czekać na ostatni.

Oprócz zalet wewnętrznych Historji konia, samą wspaniałą powierzchowność książki podnieść należy: jest to jedno z najsmakowniejszych wydań współczesnych. Rozejdzie się ono pewnie po naszych szlacheckich dworach i dworkach i stanie się popularnem a odżywi rycerską miłość dla szlachetnego starego towarzysza wiekowych przygód, walk i trudów.

Nie jeden sobie z tej pracy, potrącającej o cały rozwój cywilizacji, przypomni zabytą historję, odświeży i pojmie ją lepiej może, z konia na nią spoglądając niżeli ze szkolnej ławy. Wiele rzeczy, zaprawdę, nauczyć się z niej można.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Promenade autour du Monde par le Baron de Hübner; 3 edition; Paris, Hachette — 1874. — Przechadzka dokoła świata barona Hübnera.*)

Baron Hübner, były ambasador i minister austrjacki, bawił dłuższy czas w Ameryce, Chinach i Japonji. Wróciwszy z ostatniej posady do Europy, wydał po francusku w sporych dwóch tomach swoją podróż po tych trzech krajach. Dzieło Hübnera rozeszło się w niepospolitej liczbie egzemplarzy i oto mamy już przed sobą trzecią oryginalną edycję. Niemcy przetłumaczyli je niedawno a Warszawa wydała je także po polsku. Niezwykłe to powodzenie jest najlepszą rękojmią wartości dzieła.

„Przechadzka dokoła świata“ nie jest podróżą we właściwem słowa znaczeniu. Autor nie opisuje natury, nie zatrudnia czytelnika swemi wrażeniami i przygodami, ale z bystrością umysłu, właściwą wytrawnemu dyplomacie, daje nam obraz społeczeństwa na które zbliska patrzał. Szczególnie trafne są poglądy na Amerykę i jej mieszkańców.

Ponieważ tego rodzaju książka nie da się streścić w kilkudziesięciu wierszach, przeto postanowiliśmy dać z niej dłuższe wyciągi, za co czytelnicy pewnie wdzięczni nam będą. Wyciągi robimy według ostatniej edycji francuskiej; rozpoczynamy zaś od Japonji, jako od kraju najmniej u nas znanego. A teraz pozwólmy by sam autor przemówił.

„Pierwsze dni mego pobytu w Yedo poświęciłem badaniu tej wielkiej a zawsze tajemniczej stolicy obszernego państwa. Od lat dwóch dopiero otwarta dla cudzoziemców w ogóle, była dawniej zwiedzoną przez lorda Elgina i barona Grosa. Poselstwa zagraniczne miewały tam także chwilowo swoje rezydencje. Z pomiędzy długich opisów — których liczby powiększać nie myślę — opis pana Ryszarda Lindau, zrobiony w r. 1864 dla towarzystwa azjatyckiego w Londynie, jest najlepszy z tych które czytałem. Brakuje tam wprawdzie wielu szczegółów, ależ zważyć potrzeba, iż w owej epoce świątynie i groby, będące perłą i sławą sztuki japońskiej, nie były jeszcze przystępnemi dla obcych i że nie tak łatwo im było jak dzisiaj krążyć po stolicy japońskiej. Zasługa przeto autora niemieckiego jest pod każdym względem znakomitą.

Z mojej strony przytaczam tylko zapiski poczynione na miejscu:

Proszę sobie wyobrazić płaszczyznę o wyniesionych krańcach, poprzedzielaną pagórkami, otoczoną w południowej stronie wodami zatoki, w północnej i wschodniej szeroką i malowniczą rzeką Sumidagawą. W środku płaszczyzny, na zaokrąglonem wzgórzu, mającem od 3 do 4 mil angielskich obwodu, wznosi się starożytne zamczysko, przeistoczone od dwóch lat na pałac Mikada. W stronie południowo-zachodniej tej budowy znajduje się świątynia mieszcząca grobowce władców japońskich.

Samo miasto jest podzielone na cztery części: Jiro, Soto-Jiro, Midzi i Hondżo.

Jiro obejmuje pałac cesarski, którego widać tylko otaczające mury. Rozłożyste drzewa, szczepione w 1598 r. zasłaniają oczom profanów święte miejsca, zamieszkałe obecnie przez syna słońca. Murawa zawsze zielona i świeża, pokrywa wysokie brzegi podzamcza, okolonego głębokim rowem, zasadzonym ogromnemi indyjskiemi kwiatami. Żaden śmiertelnik z wyjątkiem dworaków i wielkich dygnitarzy nie śmie przestąpić granic tego przybytku. Ambasadorowie są przypuszczani do cesarza w rzadkich tylko razach.

Na około Jiro rozciąga się Soto-Jiro, gdzie się mieszczą pałace wysokich dostojników dworu, ministrów, mężów stanu, itd. Kanał oddziela tę część miasta, przedłużając się tylko od wschodu do rzeki Sumidagawy. Ta to właśnie część Soto-Jira posiada długie ulice, poprzecinane mnóstwem wąskich uliczek, które razem wzięte nazywane są przez Anglików City, z powodu rozległego ich handlu. City pięknością swoją, okazałością sklepów, nieustannym ruchem od rana do nocy, w uderzającej jest sprzeczności z pokładami prostokątnemi kamienic jednostajnych, po większej części zamkniętych, z grobową ciszą i samotnością siedzib arystokratycznych.

Midżi stanowi miasto we właściwem znaczeniu tego wyrazu, okrążając Soto-Jiro z północy, południa i zachodu i będąc z niem połączone za pomocą wygiętych mostów. Najcelniejszym z tych jest most Niphon-bashi, przezwany poprostu mostem japońskim, jako prowadzącym do głównej drogi cesarskiej, przerzynającej wyspy Niphon i Yesso.

Most wzmiankowany słusznie można uważać za punkt jeograficzny państwa. W drogoskazach urzędowych obliczoną jest odległość od takowego do wszystkich miast Japonji. Na tem miejscu zamordowali krajowcy p. Heusken, sekretarza legacji Stanów Zjednoczonych.

Midżi przedstawia mięszaninę ulic zaludnionych i pustych, sadów, ogrodów warzywnych, parków, targowisk rybnych i świątyń. Założono tam u brzegu morza i ujścia rzeki przed paru laty kolonję europejską, zwaną Tsukiżi. Okrążona i poprzecinana kanałami, ale nie ocieniona gaikami, dosyć smętny przedstawia obraz. Posiada hotel, blade naśladownictwo karawan-serajów amerykańskich, domy konsulów i z półsetki innych, tudzież oberżę z ogromnym napisem: Hotel Francuski. W kolonji tej brak jeszcze kobiet, za to w pobliżu stoi ustronny zamek dla rozrywek cesarskich z przepysznym parkiem nad zatoką; w północnej zaś części Midżi leży słynna Yoshiwara, zamieszkała przez zalotnice.

Któż nie czytał opisów kłamliwych lub przesadnych o tym zakładzie, zostającym pod dozorem rządu? Powszechnie utrzymują, iż wedle wyobrażeń krajowych, rzemiosło frymarek wdzękami nie ma nic zdrożnego; że rodzice oddają dobrowolnie do Yoshiwara swe córki i że ludzie uczciwi nie wahają się wybierać tam dla się żony. Otóż słyszałem w Yedo, od osób najwiarogodniejszych, iż wszystkie te twierdzenia mijają się z prawdą. Zdarzyć się może, podobnie jak to się trafia na całym świecie, że i w Japonji mężczyzna zaślepiony szałem namiętności pojmie jedną z tych nieszczęśliwych za towarzyszkę życia; lecz pomimo to niewiasty podobnego gatunku zarówno tam jak wszędzie są uważane za pohańbione i gdyby jaki urzędnik państwowy poważył się uczęszczać jawnie do nich, wypędzonoby go ze służby.

Handżo nakoniec leży na lewym brzegu Sumidagawy. Jestto obszerne przedmieście, w sąsiedztwie którego znajduje się wiele domków, gdzie podają herbatę. Kawiarnie te (należałoby mówić herbaciarnie) są bardzo podejrzane, jako legowiska zepsucia, uczęszczane przez studentów. Dalej rozciągają się składy rządowe, a po za niemi mieszkają tak zwani etas, rasa wyklęta, paria japońska.

Taka jest ogólna fizognomja Yedo. (C. d. n.)

J. Gordon.

O POPRAWIE

społecznego i ekonomicznego stanowiska kobiet.

Studjum podług Dr. Fr. Holzendorfa.

W pośród najważniejszych zagadnień dzisiejszej epoki, nad których rozwiązaniem ludzkość pracuje, zajmuje bezsprzecznie kwestja kobiet niepoślednie miejsce. Znajdą się tacy, którzy podniesienie tej kwestji uważać będą za oznakę poczynających się zboczeń w naszych stosunkach towarzyskich i potępić ją gotowi z góry, jako bezpodstawną. Zapatrującym się na tę kwestję ze stanowiska uprzedzenia i ryczałtowego potępienia w zarodku, odpowiadamy, że każda sprawa, mająca związek z towarzyskiem pożyciem ludzi między sobą, jak niemniej każda kwestja sporna doniosłości społecznej, posiada niezaprzeczenie wszelkie prawo, aby ją umiejętnie badano. Umiejętność bowiem nie może się krępować w swym pochodzie ani niepewnością wyników do jakich dotrzedz zdoła, ani też zważać powinna na grożące nawet niebezpieczeństwo lub niemiłe zmiany, które wywołaćby mogły pewne kwestje. Takim jest duch czasu naszego stulecia, którego prądy unoszą nas w dziedzinę ustawicznych badań i dociekań. Nauki przyrodnicze utorowały sobie przebojem drogę w pośród lękliwego i rzekomo o interes religijny dbałego duchowieństwa; eko-

nomja społeczna posiada nietylko równe prawo z umiejętnościami przyrodniczemi, ale ma nadto wyższy obowiązek względem społeczeństwa. Powinna ona bowiem badać warunki i prawidła istniejącego stanu społecznego, nie troszcząc się bynajmniej o to, czy naruszy lub zmieni zastarzałe pojęcia. Przygotowana jednakże musi być z góry na to, że prawdy i zasady przez nią odkryte, daleko powolniej wchodzić będą w życie, aniżeli szybko w obieg puszczane prawdy i odkrycia z dziedziny nauk przyrodniczych. Skorośmy się nad ostatecznym powodem, czy państwu przysłuża prawo karania zbrodniarzy, zastanawiać mogli prawie przez całe stulecie, skoro skwapliwie badamy zalety i wyższość jednego prawodawstwa nad drugiem, co więcej, domagamy się od wszelkich tradycyj państwowych i kościelnych prawnego tytułu, szukamy granicy pomiędzy nieodzowną siłą społeczeństwa całego, a wolnością osobistą jednostki; — miałożby badanie zasadniczych stosunków jednej płci do drugiej ze stanowiska prawniczego i rozumowań nie opłacić się lub może wcale nie udać? Owszem, sądzimy, że każdy poważny i sumienny krok w tej mierze, przyczynić się musi do wyjaśnienia stosunków w tej dziedzinie. Przyczyni się on albo do uznania już istniejących i utartych prawd, albo do wykrycia przysłoniętych tylko niedostatków i braków, i przez to samo popchnie ludzkość na drogę skutecznych reform i możliwych ulepszeń. Musimy jednakże z góry się zastrzedz, że mało jest zdań społecznych, któreby były połączone z tak wielkiemi trudnościami, jak właśnie badanie prawnego i odpowiedniego stosunku jednej płci do drugiej, stosunku jednostki do rodziny i wreszcie do całego państwa. Spostrzegać się już dają objawy, dążące do rozwiązania tej kwestji według rozsądku i liczącego się z wszystkiem rozumu; mimo to jednak, niepodobna nam zaprzeczyć, że ogół przypisuje powszechnie istniejącemu zwyczajowi nie małe jeszcze znaczenie. Pocieszamy się jednakże tem, że trudno sądzić, jakoby wszechwładność panującego zwyczaju sięgała tak daleko, że sama nawet myśl przekształcenia go i popchnięcia na wyższy stopień rozwoju mogłaby być poprostu odrzuconą. Trudność pogodzenia tradycyjnych i nowo powstających potrzeb społecznych polega właśnie na tem, że oba walczące obozy, wyczerpawszy już dostatni swój zapas logicznych argumentów, zaczynają uciekać się do uczucia. Dzieje się tak najczęściej przy omawianiu i traktowaniu kwestji kobiet; płeć bowiem żeńska domaga się radykalnej zmiany stosunków na podstawie logicznych wywodów zasadniczych, mężczyzni zaś stając w obronie tradycyjnych stosunków prawnych, odsyłają kobietę do wrodzonego jej przedewszystkiem uczucia delikatności i zakreślają jej koło obowiązków staropolskiem przysłowiem: — „Aby wełnę przędła i ognia strzegła.“

Jak pierwsze żądania są nieco wygórowane, tak znowu drugie to zakreślanie granic jest co najmniej niesprawiedliwem. Bądźmyż przedewszystkiem bezstronnymi.

Gdy rzucimy okiem na dzieje rozwoju całej ludzkości, to przekonamy się rychło, że istniejący i prawny stosunek wzajemny obu płci do siebie, nie da się żadną miarą uprościć i sprowadzić do pewnej niezmiennej formułki. Mimo bowiem wszelkich zmian i przewrotów społecznych, mimo tak olbrzymiej różnorodności w dziejach, nie da się żadną miarą zaprzeczyć, że pewne zasadnicze znamiona i różnice w powołaniu obu płci niezatarły się do dziś dnia nigdzie na ziemi. Nawet ci, dla których wskazówki wieków są niczem, przypuszczają tylko pod wielkiem zastrzeżeniem, że kiedyś w dalekiej bardzo przyszłości, mogłoby przyjść do tego, iżby różnice obu płci (rozumie się oprócz cielesnych i podpadających pod zmysły) zatarły się i zniknęły do tego stopnia, że wymazać by je można poprostu z dziedziny faktów. Jak daleko sięgają na pewnych podstawach oparte doświadczenia i uzasadnione spostrzeżenia, możemy utrzymywać z całą pewnością, że różnym kształtom cielesnym, różnorodnemu wymiarowi siły i wytrwałości, wzrostowi, odpowiadać muszą także odpowiednie talenta, inne cechy charakterów, wrodzone skłonności i zdolności. Bardzo mało tylko wyjątków zdarzyło się od ogólnej reguły. Chociażbyśmy przypuścili nawet, że zdolności umysłowe u kobiet w dawniejszych czasach nie mogły się należycie rozwinąć, a skutkiem tego nie były dokładnie ocenione i zużytkowane, to jednak nie zdoła wcale zachwiać naszego przekonania, że obie płci różnią się stanowczo między sobą, a różnice te są zasadnicze i głęboko w życie sięgające.

Nie można zgoła przypuszczać, jakoby płeć żeńska kiedykolwiek i pod jakiemi bądź warunkami znalazła się w tem położeniu, aby mogła swe wrodzone zdolności rozwijać samodzielnie w odosobnieniu bez wpływu drugiej połowy rodzaju ludzkiego, a tem mniej bez wpływu państwowego lub w ogóle towarzyskiego życia. Już z tej jedynej przyczyny niepodobna kobiecie kiedykolwiek osiągnąć takiego stanowiska, któreby poza granicami dzisiejszemi stosunkami zakreślonego koła mogło jej nadać piętno odrębne w dziedzinie duchowej, na polu naukowem, artystycznem lub politycznem, a tem mniej zrównać jej działalność z twórczością drugiej połowy rodzaju ludzkiego.

Może tu tylko być mowa o zrównaniu się z mężczyzną co do wartości, ale nie co do jakości zadań, jakie na obie połowy rodzaju ludzkiego życie włożyło, a mianowicie skoro porównamy wyniki i znaczenie ich działalności pod względem wartości postępowej i oświaty w obec całej ludzkości.

Jednolitość powołania w ogóle, a tem samem i idealne pojęcie podziału pracy, mogłoby mieć tylko miejsce wtedy, gdyby tu chodziło o jednostkę. Co do rodziny zaś, sposobu jej urządzeń, warunków bytu i istnienia nie da się taka jednolitość żadną miarą pomyśleć, gdyż właśnie owo wspólne i nieodzowne wzajemne dopełnianie się pod względem uzdolnień umysłowych, stanowić musi tło i podstawę życia familijnego.

Chcąc tedy znieść wszelkie różnice między obiema połowami rodzaju ludzkiego i zrównać natomiast bezwzględnie obie płci nawet co do ubioru i sukien zastosowując takowe do odrębnego zajęcia i powołania, trzebaby koniecznie zrobić zamach stanu na rodzinę i zniweczyć jej dotychczasową doniosłość w życiu narodów. Jeżeli podczas francuskiej rewolucji domagało się kilka rozsądnych kobiet zupełnego zrównania swej płci we wszystkich kierunkach działalności, to nie zadrzały one bynajmniej przed myślą, że wydają przez to wojnę zaciętą całej rodzinie, wiedziały bowiem aż nadto dobrze, że w łonie tej rodziny za porozumieniem obopólnem małżeństwa i skutkiem potężnego wpływu moralnego w wychowaniu, młodsze pokolenie wyjdzie z pewnością z tego odmętu pojęć z silną wiarą w różnorodność powołania, i wiarę tę zaszczepi koniecznie swemu potomstwu. Gdybyśmy wzięli z jednej i tej samej warstwy ludności, stojącej pod względem oświaty, przypuśćmy zupełnie na jednym i tym samym stopniu rozwoju, po setce kobiet i mężczyzn, i porównawszy starannie i sumiennie ich zdolności umysłowe przyszli wreszcie do tego przekonania, że obie strony — wyłączając rozumie się wiadomości zdobyte za pomocą nauki, posiadają w przecięciu równą bystrość umysłu, roztropność, równy zmysł spostrzegawczy, równą pamięć, temperament i dzielność charakteru, czyż by to dowodziło czego takiego, na czemby państwo, ustrój całej społeczności i wewnętrzne życie rodzinne choć odrobinę zyskało? Bynajmniej! Ta setka ludzi połączywszy się przez małżeństwo dałaby początek pięćdziesięciu rodzinom. W rodzinie pozostałby konieczny podział pracy w stosunku do sposobów zajęcia i wyłoniłaby się prędzej czy później nierówność, której miarą byłyby wyniki w podjętych pracach.

Bacząc jedynie na osobisty cel życia kobiety, skoro mowa o kwestji emancypacji kobiet, należy zawsze starannie odróżnić jej zasługi, jakie skutkiem swego powołania w gronie rodziny zaszczytnie ponosi. Państwo bowiem we wszystkich swych dążnościach stawia na pierwszym planie podstawę rodziny, a potem dopiero uwzględniać może swe własne cele i tak regulować swe sprawy, aby życie jednostek stykało się z jego interesem i przenikało go do głębi.

Ta najwyższa miara, dająca podstawę prawną rodzinie, służy tedy państwu za wskazówkę do układania norm, jaki ma być stosunek jednostki jednej płci do drugiej po za kółkiem rodzinnem, w tej mierze wolność osobista podaje państwu środki do uzupełnienia zasadniczych braków. Nie da się zaprzeczyć, że stosunek zawieranych małżeństw w dzisiejszych czasach do życia pędzonego w stanie kawalerskim lub panieńskim, porównany z czasami dawniejszemi, nie odpowiada w zupełności potrzebom rozwoju społecznego. W tych anormalnych stosunkach szukać należy tedy owych pojawów i zboczeń, które najbardziej dotykają płeć słabszą. Wiek więc dzisiejszy podnosi tę kwestję z całą powagą do pierwszorzędnych reform. Drugorzędny plan zajmują tedy kwestje, jaki jest zakres powołania mężczyzny względnie do możliwego zakresu powołania kobiety, i czy odpowiada on w dzisiejszym swym stanie sprawiedliwości,—dalej, jakie dałyby się zrobić ustępstwa żądaniom kobiet pod względem rozszerzenia ich zakresu działalności w ten sposób, aby nie wyszły one na szkodę pierwszorzędnych zadań społecznych.

Wobec tej walki o rozszerzenie granic jest nierównie korzystniejszą pozycja przeciwnika, zagrożonego w posiadaniu prawnie zdobytych dzierżaw. Skoro bowiem kobieta wkraczać zamierza w dziedzinę zajęć, którą dotychczas wyłącznie zajmuje mężczyzna, musi być z góry przygotowaną na wszelkie zarzuty, na które się silić zwykł zawsze zagrożony w swem posiadaniu interes osobisty. Badając jednakże pretensje podniesione ze strony kobiet jako pokrzywdzonych w tej mierze, nie możemy żadną miarą wychodzić z tego stanowiska, jakoby mężczyzni pod względem intelektualnym i moralnym mieli rzeczywiście przewyższać kobiety. Owszem, jesteśmy zdania, że obie płci są sobie zupełnie równe, nietylko co do osobistej wolności, lecz także pod względem moralnych i duchowych zdolności, z tem małem zastrzeżeniem jednakże, że skoro jest

mowa o rodzinie, której podstawy szukać należy w poczuciu prawnych obowiązków, zakres kobiety musi być tutaj nieco ścieśnionym, ze względu na stosunki płynące z różnorodnych zajęć umysłowych u mężczyzn a ztąd koniecznego podziału pracy. (C. d. n.)

Ze świata muzycznego.

Od d. 30. listopada mieliśmy nie mniej nie więcej tylko 8 koncertów! Pan L. Marek, znany od dawna we Lwowie pjanista, a dziś reprezentant u nas Lisztowskiej szkoły, w urządzonym przez siebie i ze współudziałem p. Jakowickiej koncercie na cele dobroczynne, podzielał oklaski z ulubioną śpiewaczką. Na drugi dzień t. j. 1. grudnia pogorzelcy gorliccy także się cieszyli niezwykłym dochodem z danego na ten cel przedstawienia w teatrze, w którem do upiększenia programu koncertowego przyczynili się: p. Wygrzywalska, p. Köhler oraz pp. Bürger i Rosenthal.

Do ważniejszych jednakże faktów tegorocznego sezonu zapisać należy koncerta znakomitego skrzypka Wilhelmjego. Artysta ten, obok którego dziś tylko Joahima, H. Wieniawskiego lub Laubego postawić można, nie zapomniał widać serdecznego przyjęcia, jakiego doznał we Lwowie przed dwoma laty i zawitał do nas teraz w towarzystwie p. Rud. Niemanna pjanisty z Hamburga.

Wdawać się w ocenę olbrzymiego talentu tego, który dziś jedno z najpierwszych miejsc w muzykalnym świecie zajmuje, jest to przyznać wszelkie zalety, jakie zdobić mogą prawdziwego posłannika sztuki, jest to samo co dodać jeszcze jeden listek do zasłużonego wieńca jego sławy.

Szlachetna i zdumiewająca głębokością studjów gra Wilhelmjego, przedewszystkiem wlewa w słuchaczy to przekonanie, że dla tego artysty, któremu największe trudności techniczne zdają się być raczej zabawką, nie ma już nic niepodobnego. Stanąwszy u szczytu artystycznego wykształcenia i owładnąwszy wszystkiem co tylko bogactwo instrumentu takiego jak skrzypce w muzyce dać może, Wilhelmj z całą swobodą i spokojem przeprowadza myśli, stopniuje uczucia, uwydatnia najmniejsze ich odcienia, słowem odtwarza i przedstawia dzieło tak, jak je chciał mieć sam autor. Z poszanowaniem dla wszystkiego co wzniosłe i piękne, a uwielbieniem dla takiego jak W. artysty, słuchaliśmy wykonania Chaconny, jednego z najtrudniejszych utworów na skrzypce (bez akompanjamentu) i arji J. S. Bacha. Koncert Mendelsohna, który znakomitsi skrzypkowie za pole do popisu najczęściej sobie obierają, od czasu H. Wieniawskiego tak wykonanym nie pamiętamy. Z mało znanej nam sonaty Raffa najpiękniejszem wydało się nam Andante. Concert Fantasie Hillera (w manuskrypcie) zawierający w sobie dosyć nowych myśli, świadczy o znajomości instrumentu i wszystkich efektów skrzypcowych autora. W transkrypcjach swoich z nokturnów Chopina (*des* dur op. 27 i *es* dur op. 9) i wykonaniu tychże, koncertant przedstawił się publiczności jako jedyny może z odwidzających nas dotychczas Niemców, który naszego rodaka mistrza zrozumiał.

W towarzyszącym Wilhelmjemu pjaniście p. Niemannie powitaliśmy jednego z najlepszych (zwłaszcza w koncercie Mendelsohna) akompanjatorów; w odegranych zaś przez niego solowych utworach fortepjanowych, sumiennego artystę.

Na III. koncercie Gal. Tow. Muzycznego pod kierownictwem dyrektora Mikulego wykonanem było „Requiem dla Mignon“ Rob. Schumanna, w braku odpowiedniej orkiestry aranżowane z partytury na instrumenta smyczkowe fortepian (4 ręce) i fisharmonikę przez dyr. Mikulego. Przedewszystkiem należą się dzięki p. Mikulemu, który będąc u steru muzykalnego wykształcenia u nas, nie szczędzi trudów i mozolnej pracy w zapoznawaniu publiczności naszej z utworami najlepszych kompozytorów. „Requiem“ będąc jedną chwilą wielkiego natchnienia, jedną też tylko wadę posiada, że jest... za krótkie. Czy mniejsza ilość chórów, lub też niemal w każdym takcie zawarte piękności wpłynęły na wykonanie—dosyć że w dawanych dotychczas dziełach zbiorowych, nie przypominamy sobie takiej precyzji i tak dokładnego opracowania.

Koncert na bratnią pomoc akademików technicznych, w którym część wokalną zapełnili panna Z. W. i pan Z., wypada nam pominąć, gdyż wydawanie sądu o nas samych i naszych uczniach, nie do nas należy.

Zamykamy to sprawozdanie nasze prawdziwą uroczystością muzykalną t. j. koncertami słynnego kwartetu Florentyńskiego, które poruszyły wszystkie tutejsze koła. Członkowie kwartetu tego: 1sze skrzypce, Johan Becker; 2gie skrzypce, Enrico Masi; Viola, Luigi Chiostri; Violoncello, Friedrich Hilpert, złączeni od r. 1866 w celu podniesienia muzyki kwartetowej i doprowadzenia wykonania jej do możliwie najwyższej doskonałości. Czterech tych artystów, którzy za dotknięciem się swoich smyczków w jedną duszę zlani, jedno bicie serca przedstawiają, zadziwia dziś świat cały precyzją, o jakiej w muzyce zbiorowej zaledwie marzyć można. Studja ich skierowane do najgłębszego zrozumienia i opracowania stylu, równość najmniejszego „sforzanda lub staccata“ jedność w utrzymaniu zaledwie dosłyszanego „pianissima“ i przeprowadzenia każdego „crescenda“ są tak wykończone, że w wykonaniu najdrobniejszy odcień myśli autora nietylko nie ginie, ale staje się jasnym i zrozumiałym. Nic też dziwnego, jeżeli obydwa koncerty były przepełnione tłumem słuchaczy i że nawet mniej muzykalni, wymagający pewnego wsłuchania się w formy klasycznej muzyki, znaleźli je dla siebie więcej przystępnemi.

Z dzieł wykonanych były kwartetty: *D dur* op. 76 Haydena, *C moll* Beethovena, *A moll* Schumanna, *D dur* Haydena, *D moll* Mozarta. „Adagio con sordini“ Rubinsteina, „Serenada“ Haydena, „Scherzo“ Cherubiniego oraz nad program „Andante“ z 4 kwartetu Beethovena.

Tego rodzaju koncertów pragnęlibyśmy jak najwięcej, jako wpływających wiele na wyrobienie u nas lepszego smaku i podniesienie zamiłowania do dzieł poważnych.

Walery Wysocki.

Kronika Paryska.

III.

Paryż d. 15. grudnia

Nakoniec! Po sześciu miesiącach wakacyj, nudów, splinu, zastoju, Paryż od dni kilku właściwym sobie pełnym gwaru i ruchliwości zakipiał znowu żywotem.

Od trzeciej z południa do pierwszej po północy ścisk na bulwarach, przed magazynami we dnie, przed teatrami wieczór długie pojazdów rzędy, z oświetlonych okien hotelów, tam, ówdzie skocznej muzyki dolatujące tony, rosnące do góry na targach wszystkich prawie produktów ceny, oto pierwsze, namacalne, oku, uszom lub kieszeni żywo odczuć się dające zimowego sezonu objawy.

Paryż! For ever! Nie masz jak Paryż! Od wieku już z górą pięć czy sześć przynajmniej całego świata krzyczy generacji: niemasz jak Paryż? Zgoda! Nie myślcie bym jakkolwiek tetryk, tej tak krzepko utrwalonej oponować chciał opinji. Owszem! Z szczerą ochotą do wielbicieli nadsekwańskiej stolicy przyłączę się chóru. Przywykły tylko oddawna, najgorętsze me sympatje, najżywsze me zapały, pod szkiełka podsuwać rozwagi i tu w podobny postąpię sposób, i tu nim krzyknę: Niech żyje Paryż! pomacam wprzódy (pozwólcie) co w nim mianowicie na tak namiętne zasługuje wiwaty?

Neapol piękniejsze niebo, Rzym więcej bogactw sztuki, Londyn więcej bogactw przemysłu, Petersburg, Berlin, Wiedeń, okazalsze, wystawniejsze cesarskie posiadają dwory; Paryż od czasu komuny na pół zgorzały, skromnej rzeczypospolitej stolica: pomimo tych wszystkich na stronę innych miast przemawiających argumentów, więcej w przeciągu miesiąca w murach swych ciekawych i rozrzutnych liczy podróżników, niźli ich tamte, wszystkie razem w przeciągu całego naliczą roku. Czemu? Dla czego?

Pierwszym zapewne, jednym z ważniejszych jeśli nie najważniejszym takiego stanu rzeczy powodem, jest ów język francuski, który dzięki wpływowi jak Francja przez dwa z górą stulecia na losy całej wywierała Europy, stał się drugiem ojczystem, a czasem nawet więcej niż ojczystem, kosmopolitów całego świata narzeczem. Rzeczywiście ktoś tam mówi po angielsku, po niemiecku, po włosku, przypadkiem, w skutek specjalnego pod względem neolingwistycznym mniej lub więcej starannego wykształcenia, w skutek familijnych stosunków, kierunku życia, częstych podróży itd., itd., itd. — po francusku zaś mówią, lub przynajmniej siak tak wysłowić się potrafią wszyscy, co choćby z szarego końca za cywilizacji usiadlszy stołem, słuszne, czy nie słuszne do nazwy: inteligencja roszczą pretensje. W samej rzeczy. W podróży gdzieś w wagonie, do pierwszy raz widzianej po niemiecku, lub po angielsku, przemówcie osoby. Jeśli język ten nie wchodzi zakres świadomych jej rzeczy, otwarcie się wam i od razu do tej zbyt naturalnej przyzna nieznajomości. Spróbujcie zaś przemówić doń po francusku. Zakrztusi się, zarumieni, czasem odbąknie wam coś ni w pięć ni w dziewięć i z hiszpańskiej krowy akcentem (comme une vache espagnole) lecz odbąknie — po francusku!

Nie raz i nie dwa razy własnym mi się to sprawdzić zdarzyło eksperymentem. Dużo jeszcze Sedanów i dużo Sadowych Niemcom wygrać pozostaje, zanim do podobnego dojdą rezultatu.

Do atrakcyj tutejszych i to policzyć trzeba iż cudzoziemiec nigdzie tak jak w Paryżu swobodnie i niezależnie bawić się nie może. Przybywszy w rzeczy samej do Londynu, Berlina lub Petersburga, po tygodniu czy dziesięciu dniach (najwięcej) poświęconych na zwiedzenie miejscowych ciekawości, muzeów, teatrów itd. jeśli jakichś czas mu zabierających nie ma interesów, jeśli sobie w towarzystwie tamecznem żadnych nie wyrobił stosunków, jeśli nie zna nikogo, zmuszony po raz drugi do raz już widzianych powrócić rzeczy, za trzecim zawrotem ziewać, za czwartym o rychłym myśleć będzie wyjeździe. W Paryżu? Zgoła! Widziałem, wierzcie, takich, którzy po półrocznym pobycie, nie robiąc nic wcale, nie znając dosłownie nikogo, kiedy nareszcie wymarszu uderzyła godzina, z ciężkiem westchnieniem żalu to prawdziwe rozrywek rzucali siedlisko.

Paryż mój znając na palcach, każdemu z przyjezdnych za bezpłatnego proponuję się „Cicerona“ w wielką o zakład idąc sumę, iż bez zbytnich wysiłków wyobraźni w ciągu 2 miesięcy, jednego mu bezczynnym dnia nie zostawię ni wieczora, nigdy dwa razy tym samym myśli, oku lub uszom jego nie służąc przysmakiem.

Rozumie się, iż oszczędność i zabawa, różnemi tu jak wszędzie a może nawet więcej niż wszędzie, chodzą drogami „Pas d'argent, pas de Suisse“ nowożytne powiada przysłowie. Kto się tu chce bawić ten o ściskaniu worka niech nie myśli i odwrotnie to wszystko zapłacić potrzeba, lecz przynajmniej chcąc płacić i płacąc, nikt się tu na brak lub lada jakość towaru poskarżyć nie może. I to wygrana!

Gdzieindziej wymagania policyjne rządu (jak w Petersburgu) lub religijno etykietalne (jak w niedzielę w Londynie) pewne swobodzie życia kładną tamy. Tu, w Paryżu, czy masz paszport, czyś się z nim rozminął, czy chodzisz do kościoła, czyś zbawiennej doń zapomniał drogi, czy gotujesz jadło w niedzielę czy w dzień ten święty chłodnem żywisz się mięsiwem, bylebyś nikogo nie zabił, nie okradł, nie oszukał (niezręcznie), bylebyś: Niech żyje Rzeczpospolita! na środku gdzieś placu buntowniczym nie krzyczał głosem, żyć możesz jak ci się rzewnie podoba i im ekscentryczniej tem lepiej i im bardziej od zwykłego toru odstępujący sposób, tem w większym u miejskiej gawiedzi faworze. Ztąd też gdzieindziej, człek się czuje żenowanym. ścisniętym, obawa opinji publicznej zniewala go (chociażby nie chciał) do życia jak żyją drudzy, do ulegania przyjętym ogólnie zwyczajom, obyczajom, przesądom, do uczęszczania tam mianowicie a nie opodal, do tych a nie do innych teatrów, klubów, restauracyj, wreszcie (jeśli jakieś zdrożniejsze posiada nałożki) do krycia się z niemi jak z czemś, o czem (jeśliby tego nie czynił) cała nazajutrz wiedzieć będzie parafja. W Paryżu? Baj bardzo! Przybywający tutaj jakby ciepły szlafrok i wygodne nałożył pantofle, natychmiast czuje się „u siebie“. Czy spać we dnie, czy hulać upodobał sobie w nocy, czy wieczory w „Folies Bergere“ naprzykład (rendenz-vous pstrokatego

towarzystwa) nad w „Theatre Français“ przebyte przeniesie wieczory; czy kankana w „Bullier“ czy kotyljona na balu u angielskiego tańczyć będzie ambasadora, nikogo to nie interesuje, nikt o tem nie wie, a choćby kto i wiedział, to do dziwolągów paryskiego przyzwyczajony żywota za dobrą, za codzienną przyjmuje to monetę.

Księżna Meternichowa podczas legacji męża swego w Dreźnie za „collet-monté“ tam uchodząca etykiety, w Paryżu zaś emancypację obyczajów do dość wysokiego posuwająca stopnia, (do pokazywania się publicznego w loży w teatrze z przesławną ową „Teresą“) księżna Meternichowa gdy ją ktoś z bliskich o przyczynę tak gwałtownej w sposobie życia, zapytał zmiany „A la guerre comme a la guerre! Dans un cabaret cela ne tire pas a conséquence!“ z wzgardliwym miała mu odpowiedzieć uśmiechem.

W rzeczy samej z wyjątkiem, jakichś tam aj! aj! gwałtownych rzeczy, nic tu „ne tire pas a conséquence“ wcale. W wielkiej oberży tej, Paryżem zwanej, bylebyś płacił a ostatecznych nie dopuszczał się skandalów, ujdzie ci zresztą wszystko i nie jeden grzeszek i brud nie jeden, któryby gdzieindziej głośne wywołał wrzaski tutaj z względną tolerowany pobłażliwością, swobodnie sobie aż miło w wielkiego miasta krzewi się cieniu.

„Paris“ staruteńka głosi legenda „Paris c'est l'enfer des cheraux et le poradis des femmes“. Mniej ważną dla nas w tej chwili, pierwszą jej koni dotyczącą zaniedbując połowę, zastanówmy się nad drugą, w niej bowiem także cząstkowe kwestji naszej leży rozwiązanie, że legenda prawdę mówi; iż Paryż rajem jest kobiet, to najmniejszej nawet nie ulega wątpliwości.

Najprzód nie starzeją się w nim one nigdy. Podżyłe, zwiędłe matrony, któreby gdzieindziej, u nas naprzykład, okulary włożywszy na nos, do „Złotego ołtarzyka“, do fabrykacji pończoch dla wnucząt, z świętą się już oddawna wzięły rezygnacją, tutaj gorsują się, stają do kadryla, skandalicznej kronice dostarczają materjałów, po raz trzeci lub czwarty przed ślubnym jawią się ołtarzem, i w salonach, malowane piwonje zwycięsko nieraz z szesnastoletniemi róż rywalizują pączkami. Życie kobiety wolne, życie balów, rozrywek, przyjemności, gdzieindziej ma zazwyczaj miejsce przed ślubem; po ślubie zaś rodzinnych obowiązków, domowego trudu, zaczyna się dlań epoka; tu rzeczy stoją inaczej, tutaj panna w klasztorze wychowana, w klasztorze do ślubu zamknięta, prócz rodziny nie widząc nikogo, młodzieńcze przebywa lata i dopiero po złożeniu komuś tam przed ołtarzem przysięgi, dopiero wtedy, gors i białe obnaża ramiona, dopiero wtedy w wir światowy z tym gorętszym, im dłużej krępowanym, rzuca się zapałem.

Podczas gdy mężczyzna w ożenku, koniec swej światowej widzi karjery, podczas gdy dlań „faire une fin“ i ożenić się jedną i tą samą jest rzeczą; kobieta w pójściu za mąż początek swej wolności, debiut swego salonowego dostrzegać zwykła zawodu.

I zawód ten, jakem rzekł wyżej, nigdy już nie ma końca w 30 w 40 lat potem; krocie mógłbym wskazać przykładów w 30 w 40 lat potem, jejmość jeszcze się swych do użycia nie wyrzeka pretensji, w 30, w 40 lat potem, jeszcze salonów mieni się być ozdobą. A pobłażanie z jakiem tu jej w ciągu tak długiej karjery, traktują jej grzechy? O, pobłażanie to na odrębną zasługuje wzmiankę. To co gdzieindziej zwałoby się nierządem, to tu bardzo ładne „lekkości“ (légereté) nosi nazwisko. Ot młoda, trzpiotowata kobiecina (pamiętajcie, iż mowa o osobie która już 40 lub 50 widziała wiosen) ot młoda, trzpiotowata kobiecina, pięciu czy sześciu miała kochanków, któżby za taką bagatelę (sic) siarczyste na nią chciał ciskać gromy? Wina w tem jej sentymentalnego serca, namiętnej wyobraźni (!) itd. itd. Wszyscy o złem jej wiedzą życiu, każdy z obywatelów, na palcach kochanków wam jej zliczy litanję i pomimo tego nic, nic zgoła, wszędzie przyjęta, wszędzie byleby majątek a tytuł, na pierwszem posadzona miejscu, szanowana, czczona, wychwalana, jeśli na ten lub ów kościół, na tę lub ową kongregację, hojnym nie poskąpi datkiem, to, dalipan, umierając w rzędzie rajskich stanie kandydatek.

Zrekapitulujcie teraz wszystkie wyżej poczynione uwagi. Jakże chcecie, by Paryż miasto rozrywek, Paryż miasto swobody, Paryż miasto tolerancji, Paryż wygodna oberża, Paryż raj kobiet (wiecie dla czego), jakże chcecie by Paryż ten ulubionem śmiertelników (słabych) nie był siedliskiem, i partant de là całego cywilizowanego świata stolicą?

Jest on nią i będzie tak długo, aż się chyba ludzkie z gruntu wykorzenią nałogi, lub aż chyba inne jakieś miasto pracując nad tem długo i usilnie o wydarcie mu tego nie pokusi się monopolu.

By niem był kiedy Berlin wątpimy.

Czyliż myślicie iż Paryż francuskim jest grodem? Tak zapewne co do geograficznego położenia i co do języka jaki najczęściej na jego odzywa się bruku nie, co do narodowości osób, wyższe towarzystwa formujących w nim sfery. Z wyjątkiem „Faubourg St. Germain“ gdzie na małej stosunkowo przestrzeni w żałobą a smutkiem pokrytych pałacach, kilkadziesiąt staro-francuskich, arystokratycznych gnieździ się rodów; spytajcie o nazwiska właścicieli, tych wspaniałych „Champs Elysées“ i „Faubourg St. Honoré“ zapełniających gmachów, na pięć, sześć cudzoziemskich, zaledwie jedno francuskie usłyszycie miano. Otwórzcie dziennik i na tym lub owym wystawniejszym balu, ślubie, pogrzebie, przytomnych, pokaźniejszych osobistości przeluztrujcie w nim listy; z tem samem, co wyżej spotkać się wam przyjdzie zjawiskiem.

Wszyscy ci, co bądź względem rządowych przywidzeń, bądź względem towarzyskiej w własnym kraju zawinili opinji, wszyscy ci, którzy wszelkich krępujących gdzieindziej wyrzekłszy się obowiązków, spokojnie, jak u Boga za piecem resztek pragną dożyć żywota; wszyscy ci, co z jakąś mniej lub więcej zdrożną słabostką przed sądzącem swoich radzi są ukryć się okiem; wszyscy ci spieszą do Paryża który „Alma Mater“ zbiegów, egoistów, hulaków, oryginałów, wszystko w swej olbrzymiej połyka czeluści i wszystkiemu gościnnym służy przytułkiem.

Wszystkie inne, podrzędniejsze racje, jako to: przepych magazynów, dobór i gust w nich towarów, wykwint mieszkań i publicznych jak kawiarnie lub restauracje zakładów, wyżej wymienionych naturalnym są wynikiem. Gdzie nie ma kupujących nie będzie tam kramarza i na odwrót, gdzie pierwszych dużo, tam pewność zysku zaraz drugich wyrodzi tłumy „C'est la demande qui fait l'offre“ fundamentalny ekonomji politycznej aksjomat, absolutne swe tutaj znajduje zastosowanie. Cóż dziwnego, iż ta lub owa mieścina licho wygląda i ani handlu ni przemysłu nie odznacza się blaskiem, kiedy bogaty konsument raz na rok tylko do niej, z musu lub wyraźnym zaglądnie przypadkiem? Cóż dziwnego na odwrót iż Paryż rendez-vous, dla wyżej wymienionych powodów, brzuchatych trzosów i pękatych całego świata sakiewek, cóż dziwnego iż Paryż kapie od złota i jak pod względem handlu, tak pod względem przemysłu jedno z pierwszych pod słońcem zabiera miejsce?

Inaczej być nie może, tak być musi, to naturalnym stanu rzeczy jest wynikiem.

By prawdę tego, cośmy rzekli jednym jeszcze więcej poprzeć dowodem, dość nam będzie wspomnieć, iż gdy w czasie ostatniej wojny a komuny, Paryż dla wszystkich tego rodzaju przybłędnych kawek, szczelnie zamkniętem przez sześć miesięcy był gniazdem, ościenne miasta jak Bruksella, Genewa, itd. czasowym pobytem ich wzbogacone, wzrosły w dwójnasób i ciężką tę dla Francji epokę, na roczników swych kartach, jako nader pomyślną zapisały chwilę.

A teraz gdyśmy się z naszego badawczego siak tak wywiązali zadania, okrzyk: Niech żyje Paryż! zostawiając innym (komu wola), sami na dość chłodnym ograniczymy się milczeniu. — Jakby za czarodziejskiej jakiejś rószczki skinieniem, wszystkie prawie teatra, nie dawno jeszcze starych — lichych sztuk bawiące się przeżuwaniem z całą masą mniej lub więcej udatnych nowostek, do zimowego stają popisu.

„Bouffes Parisiens“ z nową Offenbacha „Madame l'Archiduc“ operetką, pierwszą powodzenia otrzymają nagrodę. Lekka, wesoła muzyczka, już powszechną stająca się własnością, już na chrypłych rzempolona pozytywkach, już przez dyletantów ulicznych fałszywym nucona półgłosem, najlepszą sukcesu może sobie przypisać połowę. Co do libretta to to jakkolwiek przez sprytnego sklecone fabrykanta (Albert Millaud), niczem zgoła od poprzednich tego rodzaju nie odróżnia się nonsensów. W „Folies dramatiques“, „La fiancée du roi de Garbe“ muzyka Litolff'a, słowa nie wiem już czyje, wątpię by godnie ciężką „Córki Pani Angot“ podtrzymać mogła spuściznę. W „Varietés“, „Le pré St. Gerоais“ słowa Sardou muzyka Lecoq'a, w „Renaisance“, „Giroflé-Girofla“ tegoż ostatniego na pierwsze widzów zapraszają przedstawienia; „Gaité“ ostatnie „Orphée aux enfers“ ogłosiwszy wieczory, wielki dramat Sardou „la Haine“ w przyszłym obiecuje dać tygodniu; „Porte St. Martin“ wreszcie z „Le tour du monde“ i „Palais-Royal“ z „La boule“ Meilhac'a i Halev'ego tę świeżych przysmaków dopełniają kollekcję. Wszędzie być razem nie sposób, o wszystkiem mówić jednocześnie w jednorazowej zwłaszcza na miesiąc kronice niepodobna. W przeszłym mym liście bardziej detaliczne z jednej nowości teatralnej przesłałem wam sprawozdanie. Amator rozmaitości w obecnej kronice, teatrom dam pokój i na krótkiej powyższej o nich poprzestając wzmiance, w inną poprowadzę was stronę chociażby w stronę polityki i historji, czy zgoda?

Pan Emil Ollivier, członek owego ministerjum „Grammont“ które „z lekkiem sercem (dosłowne tłumaczenie z francuskiego „le coeur léger“) ciężką dla Francji 1870 - 1871 r. zaczęło wojnę, pan Emil Ollivier zacięty niegdyś cesarstwa nieprzyjaciel a potem ułaskawiony, zacięty jego poplecznik; pan Emil Olivier bawiący obecnie w Rzymie, ztamtąd światu, tak w quasi-historycznych broszurach jak i w rozmowach politycznych z profesorem Lazzarini, swe mądre o obecnym stanie Francji i o jej przyszłości wygłasza zdania.

Z historją Guicciardini'ego w ręku studjując dzieje Florencji w XVIym stuleciu, były minister Piotra Soderini republikanina owych czasów z Thier-s'em porównuje i z Mac-Mahonem i w powrocie do Florencji Medyceuszów, powrotu quand même do Francji Bonapartych pewne według siebie dostrzega wróżby.

Nie znam nic bezsensowniejszego nad to na korzyść tej lub owej opinji, fałszywe wyzyskiwanie dziejów, nad te szperania w popiołach zgasłej przeszłości, by z nich, na przykład żywym, jakiegoś mniej więcej do nich podobnego wywlec kościotrupa.

Potrzebaż wierzyć w ślepy fatalizm jakiś ludzkości kierujący krokami?

Potrzebaż wierzyć, iż ludzkość kręcąc się wkółko, koniecznie tam, gdzie już raz była, z bezwiednym powrócić musi uporem?

Kto tak wierzy, temu rzecz naturalna opuścić bezwładnie dłonie i nic nie robiąc, tego co koniecznie nastąpić musi w miękkiej czekać rezygnacji.

Kto tak wierzy ten śmiało odpowiedzialność za tak szaloną jak ostatnia wojna na siebie przyjmować może. Wojna ta żelaznym fatalizmu przepisana wyrokiem na karb fatalizmu policzoną być powinna.

Nic łatwiejszego, jak szperając pilnie gdzieś w starożytnej czy średniowiecznej historji, z mniej więcej podobnym a rzecz potwierdzającym spotkać się przykładem.

Teorja wygodna. Zrobiłem głupstwo. Zrobię ich jeszcze parę. Nie dziwota. Patrzcie tylko Tacyt lub Polybjusz wręcz podobne w tej lub owej dziejów swych zapisał księdze.

Teorja wygodna. Wątpimy tylko, by wszyscy mężowie stanu pisać się na nią zechcieli

Fakt ten lokalny zresztą jak zawód Soderini'ego (chcącego ufundować Rzeczpospolitę we Florencji) jak powrót do niej Medyceuszów, możeż rzeczywiście, choć ładajakiem, choć bardzo naciągniętem i chwiejnem anty-republikańskich opinij we Francji służyć poparciem? Któż wiek XVIty, wiek Filipa IIgo, wiek inkwizycyjny, wiek wojen religijnych z XIXtym telegrafów, dróg żelaznych, elektrycznego światła, porównać może wiekiem? W czyjej dość szalonej, dość uprzedzonej głowie podobnych zestawień wyrodzić się zdoła zachcianka?

Pana Ollivier potrzeba na to.

A i Medyceuszom do Bonapartych a i Bonapartym do Medyceuszów daleko widzi nam się, nie żartem.

Pierwsi (Medyceusze) jakie by tam nie były historyczne błędy ich i winy, nigdy Florencji na trzykrotne wrogów nie narażali najazdy, nigdy stratą dwóch prowincji serce ojczyzny swojej pod wrogów nie poddawali pociski.

Pod berłem drugich (Bonapartych) nigdy Fran

*

cja tak świetnym jak Florencja w XVItym wieku, artyzmu i nauk nie zajaśniała blaskiem.

Przeciwnie.

Gdzież zatem porównanie?

By dowieść iż gromiąc takie fałszowanie dziejów wcale za głosem politycznej nie idziem stronniczości, wspomnim o rzeczy starej już stosunkowo, ale która w kwestji niniejszej, może mieć swe zastosowanie.

W 1869—70 latach za cesarstwa zatem jeszcze, pan Beulé, członek instytutu (deputowany i minister potem, nieboszczyk teraz), pan Beulé wydał dwutomowe historyczne niby dzieło „le Sang de Germanicus“ i „Titus et la dynastie“. Otóż rzecz ta z widoczną wstrętną cesarstwu (pan Beulé był Orleanistą) opracowana tendencją, pełna podstępnych na niekorzyść jego alluzji, takiem samem jak obecnie broszurki pana Ollivier bezsensownem dziejów wydawała nam się nakręcaniem, taką samą historyka niegodną szacherką.

Pan Beulé wprawdzie wet za wet tylko wstrętnej sobie oddawał partji, z rąk nieprzyjacielskich wydartym walczył orężem. Pan Beulé w książce swej na „ejusdem farinae“ z pod najjaśniejszego pióra wybiegłe („Historja Juljusza Cezara“ przez Napoleona IIIgo) odpowiadał dziełó. Ale to nie racja. Historja lub skarbiec prawdy lub zero za oręż w potyczkach stronnictw służyć nie powinna i nie może. Nic albowiem łatwiejszego jak jeden i ten sam fakt w dwojakiem przedstawić świetle, pod dwojaką podciągnąć miarę. Chcąc można apologję Bartłomiejowej napisać Nocy, chcąc można Washingtonowi i Garibaldi'emu ambitne osobiste przypisać plany. Wyniknie z tego chaos z którego przyszłe nie wybrną pokolenia, jak chyba i historyków i historje ich, jak niepotrzebne śmiecie za okno wyrzucając ryczałtem.

Pozwólcie iż kronikę niniejszą malutkiem zakończymy sprostowaniem.

Uwiedziony widocznie podobieństwem nazwiska „Tydzień“ w 6tym numerze swym ogłosił śmierć w Kolonji Fryderyka Baudry wykonawcy niby fresków nowej paryskiej Opery.

Być może że jaki pan Fryderyk Baudry i umarł w Kolonji ale ten z Pawłem Baudry znanym malarzem i dekoratorem Opery nie zgoła nie ma wspólnego.

Paweł Baudry żyje w Paryżu i wcale jeszcze o tak rychłym nie myśli zgonie.

Niech się więc stroskani malarstwa pocieszą amatorowie.

I do przyszłego listu.

J. Chamiec.

O meteorytach, bolidach i gwiazdach spadających

napisał

Dr. W. URBANSKI.

(Dokończenie.)

Meteoryty opisane, równie jak i wszystkie inne dotychczas obserwowane nie są ciałami tego samego rodzaju. Wszak koło Braunau, Zagrzebia i w państwie Tenesse w północnej Ameryce spadły bryły żelaza, a koło l' Aigle pułtuska skaliste odłamy czyli kamienie. Rozróżniamy przeto dwa rodzaje meteorytów, żelazne i kamienne. Te mają skład zwykły minerałów, tamte zaś przyrodę metalicznego żelaza.

Metal ten, jak wiadomo, znachodzi się w ziemi bardzo często, a w niektórych miejscach nawet w bardzo znacznych ilościach, ale tylko w chemicznem połączeniu z tlenem lub siarką i dopiero przez wytapianie z tak zwanej rudy żelaznej w piecach hutniczych otrzymujemy go w stanie mniej więcej czystym jako lane żelazo lub sztabowe. W takim stanie jak w rzeczonych meteorytach nigdzie go nienapotykamy w ziemi, chyba tylko jeszcze w onych większych lub mniejszych, a w niektórych miejscach nawet olbrzymich masach, które gdzieniegdzie na powierzchni ziemi lub w małej głębokości znajdują się wyjątkowo i też za meteoryczne żelazo koniecznie uznane być muszą, chociaż czas ich spadku nie znany. Skład bowiem ich i cała wewnętrzna budowa zupełnie tak samo się nam przedstawia jak u meteorytów spadłych koło Braunau i Zagrzebia, mianowicie wszystkie zawierają w sobie nikiel (a niektóre i kobald), którego obecność meteoryczne pochodzenie takich mas znamionuje. Wiele takich brył meteorycznego żelaza znachodzi się po mineralogicznych gabinetach, jak n. p. w Zbiorze wiedeńskim tak zwany „burgrabia zaklęty,“ masa 191 funtów wagi przechowywana od XIV stulecia, na ratuszu w Elbogen w Czechach, lub w Zbiorze paryskim Musée d' hist. natur. bałwan z La Caille 1182 funtów ważący, który od niepamiętnych czasów służył za siedzenie przed furtką kościelną w rzeczonej miejscowości i dopiero w r. 1848 do Paryża przywieziony został. Inne leżą spokojnie na pierwotnem miejscu spadku, bo są zanadto wielkie i ciężkie, aby je ztamtąd ruszyć było można. W Ameryce spotkał Aleks. Humbold wiele takich mas olbrzymich w dolinie Toluca na zachodniej stronie miasta Meksyku. W Rzeczypospolitej Argentyńskiej, w pustej okolicy koło Jago del Estero, pojedyncze takie bryły 3.000 funtów wagi dochodzić mogą, w Groenlandji zaś jeden bałwan nawet przeszło 50.000 funtów. Większe masy żelaza meteorycznego przechowują się pod gołem niebem niezmiennie przez tysiące lat, pokrywszy się na swej powierzchni warstwą rdzy.

Inaczej się ma z meteorytami kamiennemi, które leżąc na wolnem powietrzu z czasem zwietrzeć muszą, a rozpadłszy się na drobne okruchy rozpoznać się już więcej nie dadzą i przestają być meteorytami. Dlatego też zbiory nasze najczęściej tylko takie meteoryty kamienne posiadają, których czas spadku jest znany. Mają one podobieństwo do naszych ziemskich skał krystalicznych i są zazwyczaj jak te złożone z kilku minerałów, chociaż nie w takim samym składzie jak skały ziemskie. To też zachowują się podobnie jak one w obec wpływów atmosferycznych wietrzenia.

Nie mogąc się tu zapuszczać w wyliczenie minerałów, wchodzących do składu meteorytów kamiennych, bo ten jest bardzo rozmaity, wspomnę tylko pokrótce, że w ogólności te same minerały w nich się znachodzą, które w lawach naszych wulkanów i w krystalicznych skałach ziemi napotykamy; z czego znowu wnosić nam wypada, że meteoryty te niegdyś w stanie płynnym się znajdowały, podobnie jak cała ziemia i reszta planet wraz z ich księżycami, a potem stężały po utracie wysokiego ciepła swego. Odbywając bieg w przestrzeni światowej jako ciemne masy nie są nam widome; wpadłszy zaś do atmosfery ziemskiej z planetarną a najczęściej i większą chyżością stają się widomemi, gdyż napotykają w niej bardzo wielki opór powietrza, które jakkolwiek rzadkie a w onych wysokościach bardzo rzadkie ciało zagęszcza się nadzwyczaj mocno przed tak szybko pędzącym meteorytem i oddając mu w części ciepło w skutek tego powstałe doprowadza go do stanu żarzenia a niekiedy nawet do stanu płynności i zupełnego rozpryśnięcia się na najdrobniejsze części. Meteor więc dopiero w atmosferze ziemskiej znaczy ogniem drogę swoją, a dostawszy się do niższych jej warstw sprawia ów huk, szelest i świst, który w podobnym wypadku każde ciało, przedzierające się bardzo prędko przez powietrze, na mocy wiadomych praw akustyki wywołuje. A gdy taki meteoryt wskutek mocnego uderzania o bardzo zgęszczoną warstwę powietrza, niejako kamień o twardą ścianę gwałtownie rzucony — tudzież wskutek nierównego naraz ogrzania się części jego składowych rozpryśnie się na mniejsze kawałki, wybuch taki podobnież z pewnym wstrząśnieniem powietrza, a więc z odpowiednim hukiem przychodzi do naszej świadomości.

Nie dziw więc, że meteoryty i mniejsze ich kawałki zaraz po spadnięciu jeśli nie wstanie żarzącym to przynajmniej wysoko ogrzane zawsze znachodzono. Jedyny wyjątek w tym względzie stanowi meteoryt, spadły w r. 1860 (14 czerwca) w Durmsala w Indjach Wschodnich. Kamień pękł bardzo blisko powierzchni ziemi, a kawałki jego były tak zimne, iż się ich bez otrętwienia palców nie było można dotykać. Pochodziło to ztąd, że temperatura przestrzeni światowej jest bardzo niska a ciepło na meteoryt kamienny, będący złym przewodnikiem ciepła przeniesione, w czasie spadania jego w atmosferze, nie mogło się w tak krótkim czasie dostać do wnętrza.

Astronomiczną teorję meteorytów i gwiazd spadających, przez Schiaparellego i Weissa na dokładnych obserwacjach osnutą, rozwinąłem na innem miejscu, pisząc o kometach, z któremi te ostatnie ciała w bardzo ścisłym związku zostają. Tu na zakończenie wspomnę tylko jeszcze, że meteoryty są światowego pochodzenia i biegnąc po drogach hiperbolicznych przychodzą do nas z różnych okolic przestrzeni światowej, są przeto w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu gońcami wszechświata. A że w chemicznym i mineralogicznym składzie swoim żadnych nowych ciał nie zawierają, którychby nie było na ziemi, więc stanowią zarazem namacalny dowód jedności i jednorodności ważkiej materji światowej, za czem też w sposób przekonywający spektralna analiza światła przemawia.

Z ŻYCIA ZWIERZĄT

Z notatek Dr. E. Janoty.

SZYMPANS W ZOOLOGICZNYM OGRODZIE W FRANKFURCIE NAD MENEM.

Znowu o szympansie? — Tak jest, znowu i nie bez przyczyny. Nie od wczorajszego dnia dopiero niektórzy ludzie myślący i czujący zapatrują się na zwierzęta z nieco innego stanowiska aniżeli na kawałek głazu lub drewna. Rzecz więc jasna, że zwierzęta postacią i zachowaniem najwięcej zbliżone do człowieka najwięcej zajmują uwagę i budzą zastanowienie się nad niemi. A że takiemi zwierzętami są przedewszystkiem małpy, któż temu winien? Powtóre, z licznych gatunków małp polecających się przed innemi do czynienia spostrzeżeń psychologicznych, właśnie szympans jest najsposobniejszy; on jeden bowiem niejaki czas znosi niewygody niewoli i zmianę klimatu. Orangi mimo najtroskliwszego pielęgnowania umierają zwykle, skoro się dostaną za zwrotnik, tak że w r. 1873 jedyny zwierzyniec amsterdamski posiadał to zwierzę; goryle zaś, nawet młodo schwytane, są tak dzikie, że ich dotąd nie zdołano utrzymać w niewoli. Jednak i szympansy giną w krótkim czasie, zwykle już po kilku miesiącach; rzadko który dożyje w Europie 3 do 4 lat. Więc i one są zwierzętami w Europie rzadkiemi, a z początkiem 1873 r. prócz zwierzyńca frankfurckiego tylko londyńskie i berlińskie akwarjum posiadały tę zajmującą małpę. Nie poczuwamy się zatem do grzechu nudzenia czytelników Tygodnia, a to tem

mniej, iż na nikogo nie wkładamy obowiązku czytania tych zapisków, komu nie są w smak. Przypuszczamy tylko z wszelką skromnością i pokorze ducha, że skoro szczegóły o szympansie frankfurckim mógł spisać dyrektor ogrodu zoologicznego w Frankfurcie, Dr. Maks. Schmidt, i skrócone mogły być zamieszczone w piśmie naukowem. „*Der zoolog. Garten*“ 1873, str. 1 i 41, — to i u nas czytaćby się dały.

Pierwszy tedy z szympansów, o których ma być rzecz, przybył do ogrodu zoologicznego w Frankfurcie n. M. 8 czerwca 1871. Był to okaz piękny, co do płci—samica—prawdopodobnie mało co starsza nad rok. Dano jej imię Bella.

Już dawno przed przybyciem miłego gościa wszystko obmyślono, co według doświadczeń gdzieindziej poczynionych mogło się przyczynić do utrzymania go przy zdrowiu i czerstwości. Naprzód zbudowano przestronną klatkę i umieszczono w odosobnieniu od innych zwierząt w domu słonecznym, aby Bella zawsze świeże miała powietrze. Z przodu klatka zaopatrzoną była w siatkę drucianą i oszkloną płytami zwierciadlanemi dla zasłonięcia mieszkanki od nagłych zmian powietrza, pyłu i dymu z cygar, tudzież aby niemożebnem uczynić podawanie do klatki jadła niestosownego a może nawet szkodliwego. Popod podłogą umieszczone rury ogrzewały klatkę gorącą parą wodną. Do wietrzenia klatki służył wielki otwór w powale, według potrzeby klapą częściowo lub całkiem zamykalny. Zresztą klatka nie była tak szczelnie zbudowaną, aby powietrze nie było miało żadnego przystępu. Więc też powietrze w klatce zawsze było czyste i nawet z rana mało co było zaduchu lub nieprzyjemnej woni, która po wyczyszczeniu klatki natychmiast ginęła. Dla zabawy przyszłej mieszkanki zaopatrzono klatkę w kilka lin, w drabinę plecioną, drzewo do wspinania się i kule drewniane.

Gdy Bellę wpuszczono do klatki, wyskoczyła szybko na drzewo, obzierała się z zadziwieniem i wydała kilka razy głos brzmiący jakby „u, u, u“, układając przytem wargi w trąbkę, jak to człowiek przy gwizdaniu zwykł czynić. Oczywiście Bella poznała natychmiast, że się znajduje w obcem otoczeniu; to ją zdaje się, niepokoiło, albowiem twarz przybrała wyraz, jaki na twarzy płaczącego dziecka widzieć można, i krzyczała niemal jak dziecko. Powoli uspokoiła się jednak i poczęła dokładnie badać miejsce swego pobytu; próbowała mocy kraty, przyciskając ją kostkami palców, doświadczała wytrzymałości liny i drabiny sznurowej, owąchała i omacała drzewo do spinania. Zadziwiającym i powiedziećby można ludzkim był spokój i powaga, z jaką sobie przy tem postępowała, i bądź co bądź, nie okazywała onego nerwowego rostroju, który w podobnem położeniu u innych spostrzegamy zwierząt. Podczas tego badania podane jej mleko nową wzbudziło na chwilę obawę; wnet jednak przybliżyła się do miseczki, owąchała ją i dotykała się jej naprzód wysuniętą dolną wargą, a przekonawszy się prawdopodobnie, że niema nic podejrzanego przed sobą, zaczęła kosztować mleko. W tym celu maczała bardzo ostrożnie kostki palców w mleku i zlizywała z nich krople mleka. Badający wyraz miał nietylko nader wielkie podobieństwo do wyrazu twarzy ludzkiej, ale zarazem był niemało komicznym.

Jadło podawano Belli regularnie: rano dostawała letniego mleka i bułki, potem bulionu z cielęciny, w południe pomarańcz i innych owoców, po południu zupy sagowej albo gotowanego ryżu z czerwonem winem, w wieczór jeszcze raz mleka z bułką.

Wszelkie jadło cukrem mocno słodzono, nietylko aby je uczynić smaczniejszem dla małpy ale dla innych także skutków, które cukier wywiera na organizm zwierzęcy. Wszystkie potrawy, które Belli podawano, podlegały początkowo ścisłemu badaniu przed ich spożyciem, przyczem Bella była zawsze nadzwyczaj grymaśną; raz to, drugi raz owo nie przypadało jej do smaku, lubo wszystko z największą przyrządzano czystością. Pomyślne działanie tranu na inne gatunki małp spowodowało dyrektora ogrodu do zrobienia próby w tym względzie także z Bellą; lecz jedna kropla tranu dolana prawie do litra*) mleka wstrzymała ją od picia mleka; musiano więc zaniechać tego dodatku. Najulubieńszym pokarmem były owoce, zwłaszcza pomarańcze, które bardzo zręcznie umiała obrać ze skórki zębami i paznogciem wielkiego palca. Wkrótce sprzykrzył się jej ten owoc; jadła więc jabłka i gruszki, które z czasem tak polubiła, że je przekładała nad pomarańcze, daktyle i figi. Mączki kartoflanéj, przychodzącej w handlu pod nazwą mąki sagowéj, wcale nie tykała, prawdziwą zaś tapiokę jadła z wielkiem upodobaniem. Mleko w ogóle służyło jej; czasami wolała rosół, który w ogóle najmniej lubiła.

Jadło brała wprost wargami z miseczki, przyczem układała je rynkowato biorąc w ten sposób także płynne pożywienie. Zsiadłe potrawy, jak n. p. gotowany ryż, brała także wargami, a nie zębami, chociaż jej to poniekąd przychodziło z trudnością.

Stykając się z ludźmi, Bella była bardzo bojaźliwą, co zdaje się, było skutkiem złego obchodzenia się z nią przed przybyciem do Europy. Nie podobna było skłonić jej do podania ręki, co inne szympansy zwykle czynią, również nie znosiła, gdy się ją wzięto za ramię. Natychmiast rzucała się na ziemię, zakładała ręce na krzyż i chowała je pod siebie, krzycząc przeraźliwie. Z tego było można wnosić, że ją poprzednio musiano ściskać lub szarpać za ręce.

Będąc samą, korzystała z przyrządów gimnastycznych, huśtała się na drabinie linowej, albo kładła się na grzbiet i bawiła kulą. Czasem zaczęła się niecierpliwić na zabawki i krzycząc przeraźliwie, gryzła kulę.

Bella była przywyczajoną przykrywać się na noc wełnianą kołdrą. Z początku pozostawiono jej tę, którą miała podczas podróży. Po kilku dniach ze względów na czystość dano jej inną, która nie była niebieską jak stara, lecz szarą. Zobaczywszy ją, rozgniewała się Bella do najwyższego stopnia, włos zjeżył się jej na całem ciele, zwłaszcza na ramionach, tak że skórę było można widzieć; sama zaś zdawała się być większą, twarz przybrała wyraz gniewliwy, jej „u, u, u“ wyrażało wielkie rozdrażnienie i jednem nagłem, silnem poruszeniem znienawidzoną kołdrę rzuciła w kąt. Głośny śmiech obecnej publiczności rozgniewał ją jeszcze więcej i dosyć upłynęło czasu, aż się uspokoiła i nowej kołdry używać zaczęła. Pytam się, jaka jest różnica między tem zachowaniem się Belli i zachowaniem się rozdąsanego, źle chowanego, t. j. sobie samemu zostawionego dziecka? Sposób w jaki Bella owijała się w kołdrę, na szczególną zasługuje uwagę, gdyż „rozumny“ człowiek nie mógłby tutaj lepiej postąpić, jak to czyniło „nierozumne zwierzę.

Nasamprzód rozłożyła kołdrę, usiadła na niej, część kołdry będącą za nią ująwszy rękoma, wciągnęła na ramiona, a rzuciwszy badawczem okiem na ten strój, szybkim ruchem zarzuciła ją z tyłu na głowę jakby kaptur. Ale to jeszcze nie wystarczało; Bella chciała mieć zasłonę na twarzy. Uskuteczniała ona to pociąganiem kołdry w górę. Poczem zakładała kołdrę z przodu jakby płaszcz i tak owinąwszy się, kładła się na pościółce spać. Zwyczajnie nie udawało się jej to zawijanie zaraz za pierwszym razem; w tym wypadku zrzucała z siebie kołdrę i powtarzała tę czynność dopóty, aż się zupełnie udała. Trwało to czasem bardzo długo.

Wkrótce po przybyciu Belli, bo 28 czerwca 1871, kupiono drugiego szympansa, także samicę. Była ona tej samej wielkości co Bella, tylko części ciała nie pokryte włosem, były bledsze. Było to, jak się później okazało, skutkiem niedokrewności. Wyraz twarzy, jakoteż całe zachowanie się jej kazały wnosić, że się z nią poprzednio obchodzono łagodnie, była dowierzającą, przychodziła do każdego z otwartem, śmiałem spojrzeniem, podawała rękę i lubiła, aby ją głaskać. Przychylność swoją okazywała tym sposobem, że kostkami palców pieszczotliwie głaskała po twarzy osoby, które się do niej przybliżały, wołając po cichu „u, u“, jak gdyby była chciała coś powiedzieć. Czasem podawała obie ręce w ten sam sposób, jak to dzieci zwykły czynić, gdy chcą, aby je nosić.

Pierwsze spotkanie obu szympansów było w ogóle spokojnem; wszakże co do Belli, nie obeszło się bez cichego wycia zdradzającego przerażenie. Wkrótce uspokoiła się i przybliżyła do nowej towarzyszki która powyżej opisanym sposobem głaskała Bellę po twarzy wołając "u, u, u". Na tem zakończyło się przywitanie. Gdy przyniesiono mleko, Nera, takie bowiem imię dano nowemu przybyszowi, przybliżyła się do miski, urwała słomkę na palec długą maczała ją w mleku i oblizywała. Czyniła ona to z wielką gorliwością i zadziwiającą żywością, a Bella przypatrywała się jej z niemałem zdumieniem. Gdy atoli picie słomką szło nader pomału, Nera zaczęła pić z miski. Dlatego dawano im później często łyżki drewniane do potraw płynnych, z któremi umiały się należycie obchodzić, mianowicie Nera, bo Bella zanurzała zwyczajnie trzonek łyżki w mleku. Ze słomy robiły sobie także obie małpy wykałaczki do zębów. Wyszukiwały one sobie z wielką starannością krótkich kawałków słomy, obgryzały je aby były stosownie długie, i używały ich jak się należy. (C. d. n.)

*) litr nieco więcej niż kwarta polska.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Polska w czasie trzech rozbiorów (1872—1799). Studja do historji ducha i obyczaju przez J. I. Kraszewskiego. Tom II (1778—1791). Poznań. 1874.

Tom ten mieści w sobie historję czteroletniego sejmu opowiedzianą nader interesująco, to też polecamy go lubownikom rzeczy ojczystych. Znajdzie tu czytelnik obok znanych już źródeł wiele zupełnie nowych, jak rękopis wojskiego litewskiego, Michała Zalewskiego, korespondencje tegoż z księciem generałem ziem podolskich i inne odsłaniające nam ważną tę epokę.

— Poezje Michała Bałuckiego. Kraków — 1874.

Całą książkę podzielił autor na cztery oddziały: 1) Miłosne dzieje; 2) Scherzo; 3) Obrazy i obrazki; 4) Przekłady. W pierwszem oddziale poezje: „Cyganka“, „Pożegnanie“ „W tęsknocie“ mają wyższą wartość. W części drugiej „Ślub“ „Sen o Róży“ „Gawędka“ odznaczają się prawdziwym wdziękiem poetycznym. W części trzeciej zajął nas najbardziej wiersz „Noc w Czorsztynie“ jako nader piękny i oryginalny. Przekłady mieszczą w sobie poezje Heinego i Uhlanda.

— Wykład statystyki na zasadzie najnowszych badań nauki, Dr. M. Haushoffera. Przekład S. S. i L. studentów prawa. Zeszyt I. II. Warszawa 1874.

Na tem miejscu donosiliśmy niedawno o przekładzie „Układu społecznego Queteleta“ dokonanym także przez studentów prawa uniwersytetu warszawskiego. Dziś widzimy, że młodzież warszawska systematycznie zabrała się do przyswojenia nam bogatych skarbów dzisiejszej literatury zagranicznej. Z tym objawem bowiem spotykamy się nietylko na wydziale prawa. Statystyka Haushoffera nie podaje bowiem tylko suchego materjału lecz zaznajamia z najnowszemi wynikami umiejętności, która równo interesuje mężów stanu, urzędników, lekarzy, nauczycieli i przedstawicieli najrozmaitszych stowarzyszeń.

— Botanika dla niższych i średnich klas gimnazjalnych i realnych przez Bolesława Jerzykiewicza. Z 140 drzeworytami, Poznań — 1874.

Każdą książkę wzbogacającą naszą szkolną literaturę witamy z radością. W przedmowie podaje nam autor rozkład przedmiotu. Zdaje się nam, że i w naszych szkołach ta książka z korzyścią mogłaby być użytą. Zwracamy na nią uwagę pedagogów naszych, zwłaszcza że jest napisana czystą polszczyzną a co do nomenklatury poszedł autor za większością naszych botaników.

— Haliczanin i noworocznik Szczutka. Kalendarz na r. 1875. Lwów nakładem Liberata Zajączkowskiego.

Między kalendarzami, które w roku bieżącym ujrzały we Lwowie światło dzienne, powyższy jest bezsprzecznie najlepszy, bo nie tylko ma dział informacyjny bogatszy jak każdy inny, lecz nadto część humorystyczna jest obfita i zajmująca. Poemat o nowej szlachcie, wybornie ilustrowany, należy do najlepszych w dziedzinie dzisiejszej satyry.

— Macaulay, Dzieje Anglji Tom X. Przekład Adolfa Pepłowskiego. Warszawa — 1875.

Dzięki gorliwości wydawcy, pr. A. Pawińskiego, mamy więc w całości przyswojone literaturze naszej znakomite to dzieło w nader starannem wydaniu. Przy końcu tego tomu dodano spis alfabetyczny obejmujący str. 68 i objaśnienia jak się wymawiają imiona własne, częściej w tem dziele spotykane.

Francuska.

— Histoire du Costume en France depuis les temps les plus reculés jusqu'à la fin du XVIII siecle par M. J. Quicherat, 1 vol. in 8. illustré; Hachette 1874.

Człowiek miał od niepamiętnych czasów pewną namiętność do ozdób, za nim uczuł potrzebę okrycia się, to też autor w pięknym illustrowanym tomie, wskazuje nam w istocie ciekawe dzieje stopniowanych przeobrażeń ozdób poprzedzających rzeczywiste suknie. Zaczęto od fraszek i broni podpadających w przeciągu wieków przeróżnym odmianom i dopiero pod wszechwładnem panowaniem mody czerpanej po trochę u wszystkich narodów suknia ulega coraz dziwaczniejszym kaprysom. Narody francuskie aż do X. wieku ulegały zasadom ubiorów starożytnych, później stała się moda wspólną wszystkim prawie narodom.

Angielska.

— Kate Byrne, by S. Howard-Tayler, 2 vols. London, Samuel — Tinsley 1874.

Z pomiędzy najnowszych romansów angielskich, wybraliśmy powyższy, należy bowiem do celniejszych i prawdziwie zajmujących. Nie da się atoli zaprzeczyć, że autor popełnił błąd kolosalny. Oto jakie było jego zadanie: „Staraliśmy się — mówi on, — wykazać, że kobieta idąc za mąż nie z miłości, lecz tylko dla majątku, nie znachodzi w tym związku ani szczęścia, ani zadowolenia.“ Program jak widzimy piękny, ale cóż z tego, kiedy autor zamiast dać nam przykład odstraszający, tak ponętny obraz rozwinął przed naszemi oczyma, że nie jedna czytelniczka gotowa postąpić wbrew wypowiedzianej przez niego zasadzie. Jego bohaterka, Kate Byrne, nie jest wcale tak nieszczęśliwą jakbyśmy ją może widzieć chcieli. Pominąwszy tendencję, romans cały jest napisany żywo i pięknie, skutkiem czego czyta się go od początku do końca z prawdziwą przyjemnością.

— Harry Heathcote of Gangoil, by Anthony Trolloppe; London, Sampson — 1874.

I ten romans należy do lepszych. Znajduje się w nim żywy i ciekawy obraz życia australskiego.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— We Lwowie zacznie wychodzić od d. 29 b. m nowe codzienne pismo polityczne „Ojczyzna.“ Chociaż do tej chwili nie pojawił się jeszcze program nowego dziennika, a widzieliśmy tylko prospekt nie podpisany przez nikogo, i w którym napróżno szukaliśmy jakiegokolwiek nazwiska, mimo to już z tonu samego prospektu i kilku mniej lub więcej znaczących w nim zwrotów, mogliśmy się domyśleć, że „Ojczyzna“ będzie organem umiarkowano — konserwatywnym. Oddawna już dawała się czuć w Galicji potrzeba rozumnego dziennika, któryby w sposób godny i konsekwentny bronił interesów stronictwa umiarkowano — konserwatywnego.

— Od dłuższego czasu nie pisliśmy obszerniej o teatrze, ponieważ nie przedstawiano nic takiego, coby na obszerniejszą zasługiwało ocenę. Teraźniejsza dyrekcja organizuje się, pracując gorliwie nad utrwaleniem sceny, która w ostatnich czasach, skutkiem zakulisowych intryg, chwiać się prawie zaczęła, a publiczność widząc te usiłowania zbiera się wieczorami coraz liczniej, i od dwóch tygodni teatr nigdy już pustkami nie świeci. Dyrekcji powiodło się także pozyskać panią Zimaier, która w rolach naiwnych jest niezrównaną. Brak jej może prawdziwej dystynkcji artystycznej, ale tej na scenie prowincjonalnej nabrać nie mogła. We Lwowie przyswoi sobie i tę zaletę. W każdym razie zastąpiła nam pannę Romanę Popiel, którą pod wielą względami przewyższa. Publiczność przyjmuje ją prawie z entuzjazmem.

— Panna Wanda Kleczkowska, (Bogdani) primadonna opery komicznej we Wiedniu, przyjechała do Lwowa na kilka występów gościnnych. Pierwszy raz dała się słyszeć na scenie naszej d. 22. b. m. w „Cyruliku Sewilskim.“ Głos jej nie zbyt obszerny, ale sympatyczny, szkoła doskonała, a znalezienie się na scenie pełne gracji. Publiczność przyjmowała ją hucznemi oklaskami. W ogóle cały „Cyrulik“ wypadł dobrze. Kto nie mógł głosem, nadrobił komizmem i cały teatr parskał ze śmiechu.

— Druk powieści Józefa Dzierzkowskiego już rozpoczęty. D. 10 stycznia wyszlemy pronumeratorom zeszyt pierwszy, a następne będą wychodziły co dni 10, każdy od 5—7 arkuszy druku. W ciągu I. kwartału r. 1875 wyjdą dwa duże tomy, które tyle będą zawierały treści, ile mieściło się w 10 tomach dawnych edycyj. Na dowód niech posłuży załączony dziś na okaz arkusz pierwszy, który dla pospiechu wysełamy niewygładzony. W tomie będzie on inaczej wyglądał. Zwracamy uwagę naszych czytelników na niesłychaną taniość tego wydawnictwa. Za 9 złr. — 8 tomów, w których pomieści się dawnych 40 tomów. Jesteśmy pewni że każdy będzie zadowolony. Pragniemy przekonać wszystkich że i w Galicji są możliwe tanie wydawnictwa, które dotąd miała tylko zagranica.

— Stanisław Staszyc testamentem swoim z daty 20 Sierpnia 1824 r. pozostawił zapis 200000 złp: na zaprowadzenie domu zarobkowego w Warszawie dla ubogich. Dotychczas znakomity mąż nie doczekał się spełnienia ostatniej woli swojej. Obecnie p. Teodor Wedeman, obrońca przy senacie Warszawskim, wygrzebuje z zapomnienia ten legat i dopomina się o jego wykonanie, wykazując z dzieł Staszyca, z rozbioru nawet samego brzmienia zapisu, że myślą nieboszczyka było, ażeby ów dom zarobkowy był „Szkołą rzemiosł“ nie instytucją karną dla zaniedbanych dzieci, próżniaków i włóczęgów, jak to niektórzy interpetować chcieli. Memorjał swój przedstawił p. Wedeman warszawskiej Radzie dobroczynności publicznej i dał tym sposobem pochop do rozpatrzenia się w tej ważnej sprawie i ostatecznego załatwienia jej wreszcie, za co mu się prawdziwe uznanie należy.

Literatura sztuka i nauka.

— Po ogłoszeniu przez Akademję umiejętności w Krakowie konkursu, w moc którego przyznaną ma być nagroda 300 rubli sr. z dwuletniemi procentami za najlepszy opis jakiegobądź województwa, ziemi lub powiatu dawnej Polski, śp. Michał Błeszyński, rychło przed śmiercią swoją nadesłał 125 rubli (192 złr. 50 cent.) z przeznaczeniem ich na drugą nagrodę, gdyby jak się spodziewać należy, więcej prac nadesłanych zostało. Zawiadamiając o tem interesowanych, przypominamy, że prace nadesłane być winne najdalej do dnia 1 sierpnia 1876 r. W Krakowie d. 18 grudnia 1874.

W imieniu Zarządu Akademji, Sekr. jener. *Dr. Szujski.*

—W warszawskich „Uniwersyteckich Izwiestiach“ organie warszawskiego uniwersytetu, drukuje się od pewnego czasu bardzo pracowity opis bibljotek i archiwów włoskich, o ile w nich znajdują się rękopisma i dyplomatyczne dokumenty, dotyczące historji południowych Słowian i sąsiednich ludów, opracowany przez profesora filozofji warszawskiego uniwersytetu Makuszewa, który długi czas w tym celu podróżował po Włoszech i południowej Słowiańszczyźnie.—Autor ogłasza tu obfity bardzo materjał do historji Dalmacji, Bośnji, Chorwacji, Bułgarji, Czech, Rosji, Polski i Węgier, przechodząc kolejno bibljoteki i archiwa Wenecji, Ankony, Bolonji, Florencji i innych miast włoskich, i podając nietylko tytuły i treść manuskryptów tam się znajdujących, ale z ważniejszych krótkie nawet przytaczając wyciągi lub małe podając objaśnienia. Jest to materjał surowy, ale ze względu na rozmiary jego i nowość przedmiotu razem zgromadzonego, zasługuje na uwagę badaczy temi kwestjami się zajmujących. W ostatnim, świeżo wydanym poszycie 5 tegorocznych „Warszawskich Uniwersyteckich Izwiestij“ spotykamy n. p. w dalszym ciągu tej publikacji wiadomość o archiwum centralném florenckiém, w którego przytoczonych tu rękopismach znajduje się szczególnie wiele materjałów do historji polskiej, a mianowicie 16, 17 i 18 wieku. Stosunki Florencji z Polską były stale uregulowane już w początku XV stulecia. W owym czasie kupcy florenccy korzystając z udzielanej im przez polskich monarchów opieki, często bardzo nawiedzali polskie kraje, lub też stale się w nich osiedlali. Ztąd handlowe stosunki pomiędzy Florencją a Polską prowadziły się przez cały XV wiek, a dyplomatyczne do samego końca istnienia Rzeczypospolitej. Pan Makuszew podaje wiadomość o licznych zabytkach, tyczących się historji tej epoki i krajów, w archiwach florenckich przechowywanych. Tak n. p. list Zygmunta I z roku 1510 w sprawie Arnolda Tebaldi, w służbie królewskiej się znajdującego, a na wygnanie przez rząd florencki skazanego; odezwa z 1492 do Radnych miasta Krakowa, poruczająca ich opiece kupca florenckiego Juzeppi; z 1423 — 25 kilka podobnego rodzaju pism do króla polskiego przesłanych. W archiwum Medyceuszów wiele bardzo także znalazło się listów, pamiętników, opisów poselstw do Polski odbywanych, relacyj dyplomatycznych, o których tutaj także podaną znajdujemy wiadomość. Dotyczą one najwięcej końca XVI i XVII wieku. Tak n. p. listy o stanie Polski przez posła Wołoskiego z r. 1857, sprawozdanie markiza Bavilaqua z 1509; korespondencje królów polskich z książętami toskańskimi 1541 — 1625; opis poselstwa Rodryga Mendozza do króla Zygmunta; poselstwo Juliana Medici 1612, Malaspiny 1621 itd, pomiędzy którémi do ciekawszych zalicza p. Makuszew zatytułowane „Avvisi di Polonia“ 1600 — 1626 opisujące stosunki Polski z Rosją w owym czasie, i podsuwające myśl, aby w razie śmierci Jana Kazimierza Polacy starali się o wybór na tron jednego z Medyceuszów. Przytacza tutaj autor obszerny nawet wyciąg z tego opisu w języku francuskim. Tak dalej n. p. podane są wyjątki z listów Sgra Filippo Talducci ad Illum et Moltomagnifico Sgra il Sigr Cavaliere Gio Battista Concini de Conti della Penna in Firenze z Polski i Litwy; 1578 — 1583, w których jest opowiadanie o straceniu Podkowy, byłego władcy Wołoszy, pod Lwowem, o przygotowaniach do odparcia Tatarów krymskich i wielu innych rzeczach. Zwracamy uwagę badaczy dziejów naszych na materjały wskazane przez pana Makuszewa, aby wiedzieli gdzie ich szukać w razie potrzeby.

— Ze sprawozdania rossyjskiego entomologicznego Towarzystwa za rok bieżący, dowiadujemy się o wyjściu na świat kosztem tegoż Towarzystwa, rozprawy pana Dybowskiego o gatunkach raków w Bajkalskiem jeziorze. Wydanie ma być nadzwyczaj staranne i ozdobne; kosztów Towarzystwo nie żałowało. Wspomniany p. Dybowski jest Polakiem, był profesorem w Warszawie, a następnie zesłany został na Sybir lat temu dziesięć, gdzie aż dotychczas bawi. Młodszy brat pana Dybowskiego, Władysław, jest docentem w Dorpacie.

— Najnowsze dzieło królowej Wiktorji pod tytułem: *Myśli o śmierci* wkrótce ma opuścić prasę. Treść jego stanowią stosunki prywatne a w szczególności związki małżeńskie i rodzinne. Jak je królowa Wiktorja pojmuje, wnosić można ze słów, które niegdyś wyrzekła do króla francuskiego Ludwika Filipa: „Skarbem panujących są dzieci. Jesteśmy zarówno bogaci, Najjaśniejszy panie.“ Wiadomość o bliskiem pojawieniu się dzieła królowej angielskiej, o którem mowa sprawiła, wielkie wrażenie nie tylko w Anglji, ale również we Francji, gdzie za prawo przekładu *Myśli o mierci* na język francuski, miano zapłacić ukoronowanej autorce 80,000 franków. Sumę powyższą królowa ofiarowała na stypendja w uniwersytecie aberdeeńskim w Szkocji, dla dzieci ubogich dzierżawców z Balmoral. Nie jest to jedyny przykład dobroczynności tej monarchini. Między innemi wystawiła królowa Wiktorja szpital i dom ubogich za pieniądze, zaoszczędzone na strojach po śmierci swego małżonka, co wyniosło około 12 milionów franków, a wykonane zostało tak nieostentacyjnie, że za granicą nic prawie o tem nie wiedziano.

X — Losowanie dzieł sztuki zakupionych przez Towarzystwo przyjaciół sztuk pieknych we Lwowie, odbyło się w wielkiej sali ratuszowej dnia 20. bm. z następującym skutkiem: „Pojenie bydła“ druk kolorowy premjum Towarz. szt. pięk. w Gracu wygrał Dolański Ludwik w Rakowej, nr ak. 979. „Pochód na Kalwarję“ miedzioryt prem. Tow. szt. p. w Wiedniu wygrał Spalke Ferd. we Lwowie nr. ak. 1146. „Postać kobieca“ rysunek kredą według obrazu Tycjana przez Terlikowskiego Aleks. w Wiedniu, wart. 150. gld. wygrała Ludwika Barącz we Lwowie nr. ak. 272. „Medaljon marmurowy K. Mikulego“ przez Barącza Tadeusza we Lwowie, wart. 200 gld., wygrał Donimirski Izydor właśc. dóbr w Buchwaldzie nr. ak. 670. „Opuszczona“ miedzioryt, prem. Tow. szt. p w Salzburgu, wygrał Grelinger Greliński Józef we Lwowie nr. ak. 261. „Rodzina święta“ prem. Tow. szt. p. w Monachium, wygrał Iskierski Konst. kupiec we Lwowie nr. ak. 48. „Matka boska pod palmami“ prem. Tow. szt. p. w Gracu (druk kolorowy), wygrał ks. Pertak Henryk we Lwowie nr. ak. 31. „Odstawa zboża w Kaliskiem“ obraz olej. przez Alfreda Kowalskiego w Monachium wart. 200 gld., wygrała panna Bronisława Masiuk w Hulczu nr. ak. 546. „Trofea myśliwskie“ obraz olej. przez Czachórskiego Władysława w Monachium, wart. 250 gld., wygrała bar. Jadwiga Brunicka z Zaleszczyk nr. ak. 733. „Obrona cmentarza“ miedzioryt, prem. Tow. szt. p. w Wiesbaden, wygrał dr. Kolischer Juljusz we Lwowie nr. ak. 170. „Wyspa File

w Egipcie Górnym“ obraz olej. przez Tepę Fran. we Lwowie wart. 50 gld., wygrał Kielanowski Tytus w Kozłowie nr. ak. 547. „Brzegi Nilu w Korosko w Nubji“ obraz olejny przez Fr. Tepę we Lwowie, wart. 100 guld., wygrał Gubatta Rudolf w Rawie nr. ak. 530. „Pięć radyrunków“ premium Tow. szt. p. w Dreźnie, wygrał Zawadzki Władysław we Lwowie nr. ak. 301. „Noc księżycowa“ obraz olej. przez Kozakiewicza Ant. w Monachium, wart. 300 gld., wygrał Kozieradzki Wład. we Lwowie nr. ak. 680. „Pustynia libijska w Nubji“ obraz olejny przez Franciszka Tepę we Lwowie wartości 100 gld., wygrał Stengel Jan we Lwowie nr. akcji 942. „Wieczornica i Jan Kazimierz w czasie pożaru Krakowa“ premja Tow. szt. p. w Warszawie, wygrał Szubert Ant. we Lwowie nr. ak. 852. „Pięć radyrunków“ premja Tow. szt. p. w Dreźnie, wygrał Jorkasch Adolf we Lwowie nr. ak. 965. „Furmanka“ obraz olejny przez Jaroszyńskiego Józefa, wart. 80 guld., wygrał Majewski Dziób Józef w Samborze nr. ak. 784. „Błogosławieństwo babuni“ miedzioryt prem. Tow. szt. p. w Pradze wygrał Kozicki Jul. z Podhajec nr. ak. 957. „Zbiór siana“ obraz olej. przez Brochockiego Wal. w Monachjum wart. 250 gld., wygrał Kratochwil Marcin w Wasylowie nr. ak. 526. „Dwa miedzioryty i trzy radyrunki“ prem. Tow. szt. p. w Hamburgu, wygrała Tekla Zawadzka w Poczapach nr. ak. 482. „Nauki dziadunia“ prem. Tow. szt. p. w Krakowie, druk kolorowy, wygrał Engel Adolf we Lwowie nr. ak. 342. Za zwrotem akcji wygrywającej przedmioty te mogą być odebrane w kancelarji Towarzystwa przy ulicy Wałowej l. 29 II. piętro, otwartej od godz. 4—7. wieczorem.

K. Dzbański.

— P. Rathelot, urzędnikowi paryskiego sądu, udało się odczytać i przepisać wiele ważnych dokumentów urzędowych, które podczas terorystycznych rządów komuny uległy spaleniu. Dokumenta te w grube wolumina zszyte, stanowiły po spaleniu jedną zbitą masę, która za najlżejszem dotknięciem w pył się rozsypywała. P. R. wpadł na następujący pomysł: odciąwszy z wielką ostrożnością grzbiet woluminu, zmaczał wodą całą spopieloną masę, i takową następnie umieściwszy w otworze kaloryferu, wystawia na działanie dość silnego ciepła. Wtedy w miarę parowania wody, karty nieco stężałe, same przez się oddzielając się, dały możność ułożenia ich na stole i odpisania. Wiarogodność kopij poświadczają wyznaczeni ku temu urzędnicy. Tym sposobem ocalono już około 70,000 dokumentów.

— Rozpisano konkurs na szkic artystycznej zasłony scenicznej, która będzie pomieszczona w dworskim tearze w Dreźnie. Pierwsza nagroda 2,500, druga 1,000, a trzecia 750 guldenów; ostateczny termin przysłania szkiców upływa z d. 15 lutego r. 1875.

— Sławny obraz Rafaela "Skrzypek" który niedawno europejska prasa za bezpowrotnie stracony podała,—odnalazł się nareszcie. Pokazuje się, że nie zakupił go ani car moskiewski, jak niektórzy sądzili, ani też nie zniszczył po wandalsku jakiś magnat rzymski, jak twierdzili inni. Rząd włoski bowiem skonstatował urzędowo istnienie tego słynnego dzieła w Palazzo Sciarra w Rzymie.

— Sławny teatr San Carlo w Neapolu będzie tego sezonu zamknięty, ponieważ rada miejska odmówiła mu tym razem subwencji, którą rok rocznie pobierał w ilości 300.000 franków, a żaden impresario nie może odważyć się rozpocząć przedstawienia bez subwencji. Jeżeli opera w tak ogromnem mieście i przez tylu zamożnych cudzoziemców zamieszkałem, nie może obejść się bez wielkiej subwencji, to jakim cudem może ona być dobrą we Lwowie, gdzie kilka tysięcy, danych teraz przez sejm, subwencyą prawie nazwać się nie mogą.

— Nowa operetka Offenbacha: „Don Quijot“ będzie pierwszy raz przedstawianą w Paryżu w lutym r. 1875. Próby rozpoczęły się już w grudniu rb. i trwać będą bez przerwy przez ośm tygodni.

— W monachijskim Kunstvereinie robi wielkie wrażenie świeżo wystawiony olbrzymi obraz neapolitańczyka Sciuti, przedstawiający „Pogrzeb Timoleona“. Na płótnie znajduje się tłum liczący tysiące osób, które jednak tak są ustawione, i z taką historyczną prawdą schwycone — że całość robi jak najlepsze wrażenie.

— Wystawa malowideł p. Baudry, przeznaczonych do wielkiej Opery paryskiej, została niedawno zamknięta. Za rozprzedane bilety zebrano 42.262 franków, co chlubnie świadczy o niepospolitem zamiłowaniu Francuzów do sztuk pięknych.

— W teatrze Chatelet w Paryżu wystawiono nową Operę „Les Parias“ z libretem pp. Hipolyt i Leroy a muzyką Edmonda Membrée. Tekst ma być nadzwyczaj ciekawy, ale muzyka zato w całości bardzo mierna.

— Dr. m. Zieleniewski, z Galicji, członek Akademji w Krakowie, znany ze swych prac balneologicznych, bawi obecnie w Warszawie, zawezwany do narady przez komitet główny wód mineralnych w Ciechocinku w gub. warszawskiej.

Badanie natury.

— Od kilku miesięcy ruch wielki panuje w świecie uczonych i astronomów. W nocy z 8 na 9 grudnia, nastąpiło przejście Wenery pomiędzy słońcem i naszym globem. Gdyby się można było unieść po nad globem na mil kilkadziesiąt w górę, lub rozłożyć obozem na jakiej planecie blisko nad ziemią zwisłej, ciekawy widok roztoczyłby się przed okiem widza. Od północnych stoków Persji po jezioro Bałkańskie — i dalej po najdalsze granice Japonji i Chin, sznurem rozciągnęły się niezliczone obserwatorja astronomiczne, zaimprowizowane w celu zbadania zjawiska. Drugim szeregiem rozsnuły się stacje badaczów od przylądka Dobrej Nadziei ku Nowej Zelandji i rozsypały na wyspach. Carat moskiewski, dla utrzymania honoru swego narodu, utworzył 27. stacji, inne rządy mało co mniejszą, lub taką samą liczbę. — Ileż to trudu, ileż pracy, ileż prawdziwego dla nauki poświęcenia ze strony uczonych badaczy po stacjach rozsypanych! Na północy w zimie, śród pustych pól — okoleni społeczeństwem obojętnem, a nawet wrogiem nauce i Europejczykowi; na południu w największym skwarze, na odludnych wyspach, gdzie nawet brak wody i cienia. Na wyspie St. Paul najtrudniejsze stanowisko. Wyspa ta powstała z wypalonego wulkanu — jest jedną masą skamieniałej lawy. Ocean groźnie się na jej wybrzeża zapędza i łoskotem fal swoich kipiących, zapowiada śmierć i zniszczenie wszystkiemu, coby się na wyspie do życia budziło. Artykuły żywności, wodę, nawet paryskie domy rozbieralne i paliwo, trzeba było sprowadzić — gdyż na wyspie żadnej niema wegetacji, żadnego życia, tylko skostniała lawy skorupa i wypalonych kraterów czeluście. Tak liczne stacje w tym urządzono celu, aby obliczenia mogły być dokładniejsze, a od wypadków meterologicznych niezawisłe. — Można się było spodziewać w kilku miejscach niepogody w tym czasie, gęstych chmur kłębiących się ponad ziemią, zasłaniających tarcz słońca. W takim razie inne stacje prawdopodobnie cieszyć się będą pogodą i nic im w spostrzeżeniach nie przeszkodzi. Na jednej stacji zapanować może choroba w niezdrowym klimacie, inne więc służą w odwodzie.— Liczbą ogromną stacji zabezpieczono swobodę i możność czynienia badań, przygotowania zaś do nich zabrały kilka miesięcy czasu. Przedewszystkiem po urządzeniu obserwatorjów, należało najdokładniej obliczyć odległość stacyj od siebie i położenie ich pod względem długości i szerokości geograficznej. — Rozumie się samo przez się, że zaopatrzono obserwatorja w najznakomitsze teleskopy; lecz nie skończono na tem. Aby tem pewniejsze otrzymać rezultaty, użyto do pomocy fotografji. Fotografja pochwyca automatycznie zjawisko na które człowiek przez pryzmat swego indywidualnego usposobienia spogląda. Na szali sądu zaważyć wiele może uprzedzenie, złudzenie i t. p. — fotografja niewolniczo prawdziwą być musi. Zdobycz fotografji, porównana z wyrachowaniem astronoma, daje rezultat badania ścisły, dokładny. Amerykanie urządzili aparat fotograficzny ze zbiornikiem o 40 stopach długości; francuscy astronomowie posługiwali się Jansena rewolwerem fotograficznym. Przyrząd ten skomplikowany na tem polega, że maszynerja zegarowa co 1/10 sekundy podsuwa pod soczewkę zbiornika płytę i gotowy obraz wydaje. — Rozchodzi tu się o to, aby dokładnie obliczyć wielkość i pochyłość cienia, jaki Wenus ua tarcz słońca rzuciła. Wymiar tego cienia, służyć ma do obliczania odległości ziemi od słońca, która dotąd jeszcze dokładnie obliczoną nie została. Dotąd nadeszły wiadomości z kilku stacji, gdzie obserwacja dobrze się powiodła; w innych miejscowościach chmury zasłoniły widnokrąg. Ostateczny rezultat badań będzie wiadomy dopiero za kilka tygodni a może i miesięcy.

Podróże i odkrycia.

— Oto ile kosztowała ostatnia austrjacka wyprawa podbiegunowa. Zebrano na ten cel 205,926 złr. składkami, wystawa przedmiotów wyprawy przyniosła 14, 251 złr., a doliczywszy procenta i inne wpływy, było razem 222,616 złr. Wydatki zaś wyniosły 222, 596 złr., nie licząc tego, co hr. Wilczek z własnej kieszeni wyłożył. Wydatki są: okręt „Tegetthoff“ z łodziami 59,950 złr., maszyny parowe do niego 32,317 złr., zaopatrzenie go itd. 31,634 złr., odzież 23,205 złr., broń i amunicja 2007 złr., narzędzia fizyczne 3172, apteka 2457 złr., płaca załogi 31,634 złr., koszta powrotu 6900 złr., psy pociągowe 1417 złr. Dr. Petermann dostał 2000 złr. Do rachunku tego nie doliczono kosztów wyprawy statku „Isbjörn“ który miał zatrzymywać na wyspie Nowej Ziemi żywność dla „Tegetthoffa“, a koszta te poniósł sam hrabia Wilczek w ilości 20,452 złr, a nadto tenże hr. Wilczek dał kapitanowi rosyjskiemu Woroninowi, który przywiózł podróżnych z Nowej Ziemli do Vardöe w Norwegji 1000 złr. Można więc koszta tej wyprawy policzyć na 243,048 złr. nie licząc wielu wydatków pomniejszych przez inne osoby poniesionych, oraz wynagrodzenia przyznanego ze składek uczestnikom wyprawy za ich powrotem.

— Według ostatnich wiadomości, w r. 1876, wyruszy z pewnością nowa austrjacka wyprawa do bieguna północnego. Na jej czele staną hr. Wilczek i Dr. Kepes. Wyprawa ma trwać półtora roku, a hr. Wilczek robi już do niej przygotowania.

— Interesującą zapewne będzie rzeczą dla przemysłowców naszych wiadomość o odkryciu obszernych pokładów sody w Ameryce, — co wpłynie niezawodnie na zniżenie ceny tego produktu i w Europie. Pokłady, te, wedle doniesienia *Scientific American* znalazły się w niewielkiem oddaleniu od linji kolei żelaznej — *Pacific*. Dla Ameryki jest to nabytek bardzo ważny — dotąd bowiem przywożono do niej corocznie 118,000 beczek sody — po cenie 50 dolarów za beczkę — teraz soda z owych pokładów które wielce obfitemi być mają—kosztować będzie w Nowy m Jorku beczka 30 dolarów tylko.

Wojskowość.

— Właściciel działolejni w Essen—Krupp, zamierza powiększyć i rozwinąć fabrykę swoją z olbrzymim prawdziwie nakładem. Koszta bowiem tego rozwoju wynosić będą około 37 do 40 milionów fr. Przy tej sposobności, ciekawą będzie rzeczą nadmienić, że Krupp tylko pruskim klientom swoim dobrych dział dostarcza, te zaś które powysyłał Turcji, Rosji i innym drobnym państewkom albo popękały, albo popsuły się bardzo szybko. Kto wie czy to nie prusk i walenrodyzm!...

— Prusy przerobiły 679,329 sztuk dawnych swoich iglicówek na broń nowego iglicowego systemu z poprawką Becka, a 200000 chassepotów na karabiny. Oprócz tego wyrobionych być ma 386,649 sztuk a w prywatnych warstatach 810,000, razem więc 1,196,649 sztuk broni systemu Mausera. Cavete cives!..

Nekrologja.

— Parys Filippi, utalentowany rzeźbiarz lwowski, którego kilka pięknych posągów i pomników mamy w mieście naszem, zmarł w Warszawie d. 7. b. m. licząc lat 39. Złamany przedwcześnie życia przeciwnościami, nie rozwinął się tak, jak tego po jego talencie można się było spodziewać, ale mimo to każda jego praca nosi na sobie cechy szlachetnego artyzmu.

ROZMAITOSCI.

— W pierwszym numerze naszego pisma donieślismy o rysunkach Jana Matejki, które w ilustracjach niemieckich pojawiły się bądź błędnie wytłumaczone, bądź nawet bez podpisu artysty. W tygodniku „Ueber Land und Meer“, w Nr. 10, który właśnie prasę opuścił, znajduje się na str. 185 rysunek Andriollego, znanego artysty warszawskiego, przedstawiający śliczną kompozycję pt.: „Pierwszy promień słońca“. Na stronicy odwro-

tnej umieszczono wytłumaczenie rysunku, ale ani jednem słowem redakcja nie nadmieniła, że kompozytor jest Polakiem. Rysunek nie tylko pochodzi z Warszawy, lecz nawet był tam wycięty, o czem świadczy podpis drzeworytnika A. Czajkowskiego. Naszem zdaniem „Kłosy“ i „Tygodnik ilustrowany“, odstępując swoje klisze pismom zagranicznym, powinne zawsze stawiać za warunek, że autor będzie wymieniony jako Polak. Wszelkiemi siłami powinniśmy się o to starać, aby nazwiska polskich artystów były coraz głośniejsze za granicą, bo inaczej Niemcy gotowi nam ich zabrać, pisząc potem w swoich historjach sztuki, że to ich artyści. Czy nie przykre to np. zjawisko, że kilka tygodni temu pojawiła się w języku francuskim bardzo dobra „Historja sztuki“ przez Reymonda, w której atoli ani o Grottgerze ani o Matejce wzmianki nie ma. Widać z tego że i tych artystów nazwiska nie są tak rozgłoszone jakby być powinne.

— „Bien public“ opisuje niezmiernie tragiczny wypadek, który tu za nim powtarzamy. Młody pewien lekarz, p. Perrin, zmarł w szpitalu Ś. Anny w Paryżu po dwunastu miesiącach obłąkania, które w ostatnich chwilach przeszło w najstraszliwszą egzaltację i furję. Pomimo że nie miał jeszcze trzydziestu lat skończonych, umarł osiwiały zupełnie. Cóż było przyczyną tego obłędu i śmierci? W pierwszych dniach miesiąca grudnia br. p. Perrin zajmował stanowisko preparatora przy kursach anatomicznych doktora D. Jednego dnia o 7mej rano przybył do szkoły praktycznej, w celu ukończenia dyssekcji zwłok, rozpoczętej dnia poprzedniego. Zimno było niezmierne. Na wschodach spotyka chłopca usługującego przy prosektorjum, który mu oświadcza że w sali dyssekcyjnej już zapalono w piecu. Młody doktor przebiera się w bluzę, wyjmuje skalpel i już ma się zabrać do dzieła, gdy naraz słyszy za sobą w kierunku trupa — do którego stał tyłem — głuchy odgłos. Obrócił się żywo, nic jednak spostrzedz nie mógł, coby mu wyjaśniło ten szmer. Okoliczność ta, drobna na pozór, zaintrygowała go mocno i nerwowo usposobiła. Przemógł się jednak i zwrócił do trupa, którego znalazł w siedzącej postawie, tak jak go wczoraj zostawiono, z ramieniem wzniesionem nieco nad głową, sztywnem i zmarzniętem zupełnie. O dyssekcję tego ramienia właśnie chodziło doktorowi. Zbliżył się więc, — ledwo go jednak dotknął, opadło gwałtownie a zlodowaciała ręka trupa siluie operatora w twarz uderzyła. Dr. Perrin wydał okrzyk straszliwy i uciekł. W dwie godziny potem pochwyciło go delirjum i stracił rozum! Cóż to było? Oto przy cieple ognia płonącego w piecu zesztywniałe ramię trupa rozmarzło i opadło. Ztąd całe nieszczęście!—O podobnym temu wypadku, którego przyczyna jednak osobliwszą jeszcze była, wspomina „Courrier de Bresil“. Dziecię pewnego artysty, zaledwo dziesięcioletnie, grające na fortepianie z podziwienia godną biegłością i zapałem, od pewnego czasu poczęło okazywać dziwny wstręt do ulubionego swego instrumentu. Wyczerpawszy przedstawienia i prośby, rodzice uciekli się wreszcie do postrachu, ażeby zmusić dziecko do dalszych studjów. Ale młody artysta na sam tylko widok fortepianu, okazywał jak największą trwogę i padając na kolana krzyczał: „Łaski! łaski! nie każcie mi zbliżać się do tego przeklętego fortepianu; jest w nim jakiś zły genjusz, który mi rozdziera słuch, skoro dotknę się klawiszów. To djabelski instrument. Litości, mój ojcze!“ A po takim wybuchu następowała gorączka i konwulsje. Ojciec, człowiek roztropny, próbował leczyć chłopca z tego urojenia, jak sądził; widząc jednak, że wszystko idzie na marne, postanowił sam przekonać się, co za dziwo w fortepianie kryć się może. Siadł więc sam do niego. Ledwo jednak pierwsze akordy zabrzmiały, wszczął się wewnątrz instrumentu hałas przerażający i ojciec uciekł — tak jak niedawno dziecko. Nazajutrz jednak, wstydząc się sam siebie, powrócił znowu do fortepianu. Ten sam hałas piekielny! Wówczas uzbroił się w całą odwagę i otworzył instrument. Cóż w nim znalazł? Oto całe gniazdo białych myszy, które się tam, Bóg wie zkąd, wzięły. Myszy lubiły tylko skórkę z młoteczków i wełnę z klawiszy a nienawidziły muzyki i wpadały w gwałtowne poruszenie, jeżeli chciano użyć ich spiżarni do melodyjnych celów. Pozbyto się ich natychmiast. Ale umysł młodego wirtuoza, żywym tknięty przestrachem, bardzo powoli tylko przychodzi do siebie i długich miesięcy zapewne będzie potrzeba, zanim odzyska swoją pierwotną świeżość i siłę.

— Zwyczajny pieszy wędrowiec uchodzi w dwóch godzinach 1 milę drogi, czyli w sekundzie $3^1/_3$ stopy. Gdyby szedł dniem i nocą bez ustanku, okrążyłby ziemię w 450 dniach. Ślimak ma ruch najpowolniejszy: robi 1 stopę na godzinę. Zwyczajny wóz pocztowy ujeżdża na godzinę milę, czyli na sekundę $6^2/_3$ stopy. Biegły łyżwiarz robi w godzinie 4 mile, czyli 26 stóp w sekundzie. Ren biegnie równie szybko: dziennie 36 mil zdoła upędzić. Chart trzykroć bardziej rączy. Gdyby mógł równym biegiem wciąż pędzić, w 16 dni ziemię by obleciał. Mucha przelatuje w sekundzie 5 stóp, jaskółka 75, orzeł 96, gołąb'-listonosz 144 stóp. Mógłby w 8 dniach ziemię oblecieć. Wieloryb upływa w sekundzie 40 stóp, w godzinie 6 mil. Burza zwyczajna przebiega na sekundę 60 stóp, orkan 120, głos 15000 stóp. Lokomotywa bez ciężaru robi w sekundzie 80 stóp, w godzinie 12 mil, — w 19 więc dniach okrążyłaby ziemię. Obciążona ma tylko połowę tej szybkości. Ziarnko śrutu wyrzucone ze zwyczajnej myśliwskiej flinty dolatuje w sekundzie do odległości 300 stóp, kula armatnia w tym samym czasie przebiega przestrzeń 600 stóp. Gdyby mogła tę szybkość zachować, okrążyłaby ziemię w jednym dniu, podczas gdy głos oblatuje ją w pół dnia. Światło przebiega w sekundzie 42000 mil, elektryczność dwa razy tyle — to znaczy w jednym dniu obiega 8 razy ziemię naokoło.

— Kto ciekaw bardzo osobliwego widowiska niech pójdzie obejrzeć w Rzymie na „Piazza di Spagna“ targowicę modelów malarskich. Punktem zbornym dla tych żywych wzorów są schody kościoła i sam kościół Trinita di Monte. W Rzymie każde publiczne schody są placem targowym. Na jednych sprzedają się relikwje, stare buty, cygarniczki, muszle, owoce. Gdzieindziej, myją, strzygą i przedają psy; indziej znowu częstują kapeluszami słomianemi, podwiązkami itp. Otóż i targ modelów znajduje się na takich schodach. Oto stoją, leżą, siedzą, gawędzą, piją, śpią, palą i kłócą się na nich najrozmaitsze postacie — po największej części w narodowych charakterystycznych kostjumach. W podartego płaszcza zwoje drapuje się majestatycznie rzymski żebrak — wzór czcigodnej, wzbudzającej współczucie, opuszczonej starości. Będzie z niego Edyp może lub Belizarjusz. Nie dawno jeszcze zajmował się przepędzaniem wołów z dworca do miasta. Ale zawód modelu jest zyskowniejszy! Przynosi mu on około dwóch franków dziennie — to znaczy, więcej aniżeli mu potrzeba. Wybrał więc ten zawód. Koło niego siedzi bandyta. Bardziej po bandycku niepodobna wyglądać. A jednak człek to zgoła niewinny — nigdy fuzji nie tknął, handlował przedtem kanarkami! Po za nim, tuż pod herbami stolicy świętej, wyciąga się gnuśnie piękny młodzieniec—Adonis. Jest to osobistość wielce poszukiwana, nie tylko przez malarzy, — zresztą chłopak niezmiernie głupi i nieokrzesany. Ideałem jego—najlepszego gatunku cygara. Obok niego w kokieteryjnych i malowniczych pozach, jaskrawemi lśniące strojami modelki. Wszystkie typy: od Gretchen — do Lais i Lukrecji Borgii, tu się znajdują. Najczęściej są to eks-praczki lub eks-kwieciarki, piękności zdumiewającej niekiedy. Wśród tej gromadki przechadza się cel ogólnych zachodów i kokieterji — malarz—mierzący okiem znawcy rysy ich i budowę. Cały obraz oblany gorącem słońcem. Za tło ruiny, kościoły i pałace. Warto obaczyć....

— Baskowie, — pomiędzy którymi największe poparcie i sympatję znajdują obecnie Karliści — stanowią ludność 600 tysięczną, z tej jednak 150 tys. znajduje się pod władzą Francji. Język ich nie należy do pnia indogermańskiego, od którego większa część djalektów europejskich pochodzi,—ma on raczej podobieństwo z narzeczami amerykańskich „Czewonych Skór“, a szczególniej pokolenia Beapee. Baskowie sami swój język nazywają Enskara a siebie Enskaldunac; tylko francuska część ich nazywa się Baskami od vasoc: człowiek. Wszystkich cudzoziemców oznaczają mianem Erdaldunac, od erdu przybywać, a więc przybyszami. Baskowie należą do najzuchwalszych marynarzy, — oni pierwsi jęli się zapuszczać za wielorybami głęboko na północ i przywozić z Newfundlandu tran i rybę-szpadę. Rolnictwo jest w wielkiem poszanowaniu u nich; dotychczas jednak jeszcze w „Guipuzcoa“ indogermański pług jest osobliwością: chłop tamtejszy obrabia ziemię motyką i rodzajem wideł oryginalnego kształtu. Kraj obfituje w żelazo, drzewo, owoce, wino, — handel i przemysł w kolebce. Baskowie są smukli, silni, muskularnie zbudowani i niezmiernie zgrabni. Bez zawrotu skaczą ze skały na skałę i dosięgają najwyższych szczytów górskich. Moralnemi ich przymiotami są: odwaga, miłość swobody, gościnność i uczciwość. Kobiety ich odznaczają się nader delikatnym składem ciała i wielkim wdziękiem, — cera ich czaruje świeżością i żywością, ręce i nogi pięknie uformowane. W sile i zręczności nie ustępują mężczyznom i dzielą z nimi wszystkie trudy. Zabawę ich stanowią tańce i walki byków. Baskowie nie żyją we wsiach, ale w odosobnionych zagrodach. Pewna ilość takich zagród, ze wspólnym kościołem — rzeczypospolitej nazwę przybiera. Wielkiej czci pomiędzy nimi używają panowie starych, na pół zrujnowanych zamków, i prawie feodalną mają dotąd władzę nad nimi.

— Wiadomą jest rzeczą, że cywilizacja europejska zgubnie działa na ludy dzikie, które niemogąc zrozumieć i korzystać z jej stron dodatnich, chwytają oburącz za wszystko, co w niej jest ujemnego; bo właśnie to bądź zmysły pobudza, bądź wreszcie oko bawi. Nie lepiej dzieje się z temi ludami które szczyciły się samodzielną cywilizacją. Dowodem na to Birmanja, należąca dziś do Anglji. Dawniejsi władcy tego państwa, nie pozwalali poddanym używać opjum; dzięki temu rozporządzeniu lud był trzeźwy i pracowity. Anglicy zagarnąwszy Birmanów, w imię europejskiej cywilizacji, która każdemu człowiekowi pozwala jeść i pić co mu się podoba, znieśli natychmiast zakaz używania opjum. Ludność rzuciła się namiętnie do tej trucizny odurzającej zmysły, a skutek jest ten, że Birmanja jest dziś przepełniona ludźmi fizycznie słabymi, prawdziwymi karłami. Jeśli tak dłużej potrwa, Birmanja wyludni się zupełnie.

Odpowiedzi Redakcji.

S. P. w Stanisławowie. Żądasz Pani pięknych ilustracji w „Tygodniu“? Dobrze, zawrzyjmy sojusz z czytelniczkami naszemi, a będą ilustracje. Projekt nasz prosty i wcale nie trudny do wykonania. Do tej chwili mamy przeszło 1000 stałych abonentów; z prawdziwem to mówimy zadowoleniem, ponieważ takie powodzenie jest w Galicji fenomenalne. Gdy jednak piękne ilustracje powiększyłyby nasze wydatki o kilkanaście tysięcy guldenów rocznie, przeto niech każda z naszych czytelniczek postara się pozyskać tylko jednego prenumeratora, a w ciągu roku dodamy ilustracje, które z pewnością nie ustąpią zagranicznym. Dotrzymamy przyrzeczenia, jakeśmy dotąd dotrzymali każdego. Wykonanie zaś projektu zawisło od pięknych naszych czytelniczek, które, jeśli energicznie wezmą się do dzieła, z pewnością wszystko przeprowadzą. Do nich też apelujemy.

H. F. w K. Tylko umysł tak dowcipny i bystry mógł odgadnąć, kto się pod skromnym pseudonimem ukrył.... Żądaniu uczyniliśmy już zadość, ponieważ obok powieści „Serce i ręka“ zaczęła teraz wychodzić druga, Jana Lama, pt. „Idealiści“. Po skończeniu pierwszej, pojawi się powieść Michała Bałuckiego „Byle wyżej“. Zamawiamy sobie dalsze względy chociaż dotąd możeśmy nie całkiem zadowolili....

K. hr. Ch. Korszowo. Pisma J. Dzierzkowskiego wychodzą przy „Tygodniu“. „Dziennikowi Polskiemu“ odstąpiliśmy tylko pewną liczbę egzemplarzy, dla tych prenumeratorów, którzy się zgłoszą najpóźniej do 15go stycznia r. 1875. Wydawnictwo jest zatem na cały czas tylko z „Tygodniem“ związane.

List reklamacyjny. Kilka tygodni temu otrzymaliśmy szereg poezyj, od jednej z łaskawych czytelniczek, których atoli nie mogliśmy umieścić. W odpowiedź otrzymaliśmy następujący wcale piękny list reklamacyjny:

Srogi Panie Redaktorze,
Sprawiedliwe sądy twoje;
Pozwól niechaj sama złożę
W grób zapomnień dziatki moje.
Niechaj żadna obca ręka
Nie rozrywa ciał ich w szmatki;
Na myśl taką serce pęka —
Zwróć mi Panie moje dziatki!
Niechaj sama stos ułożę
I pochodni żar rozpalę;
Sama na stos rzucę — może
Śmiercią honor ich ocalę!

Po otrzymaniu prośby tak głęboką przejętej boleścią, szukaliśmy rękopisu cały tydzień z niesłychaną cierpliwością i teraz odsyłamy dziatki pod literą B. poste restante — z szczerem życzeniem, aby się zdrowo wychowały.

Do dzisiejszego numeru dołącza się list zwrotny i jeden arkusz na okaz z zupełnego wydania dzieł Józefa Dzierzkowskiego. Arkusz dajemy wprost z pod maszyny, niesatynowany, jedynie dla tego aby Czytelnicy przekonali się jak wielką ilość treści w sobie zawiera.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.